

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 2; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Pani Marya, czy Marysia?

(Słów parę w kwestyi sług).



II.

Nie mamy zamiaru twierdzić, że Marysia, „ta głupia prosto ze wsi,” trafia zawsze szczęśliwie do dobrej pani Maryi. W dowodzeniach naszych trzymamy się ściśle prawdy życiowej, a ta inaczej mówi. Marysia dostaje się często w gorsze ręce — nawet w złe zupełnie i musi nieraz gorzko zapłakać, musi wycierpieć.

Spółczeństwo, jako ciało zbiorowe, składa się z indywidualów rozmaitych, najróżnorodniejszego (mimo pozorów szablonu) stopnia wychowania, a także nie jednakowego usposobienia i charakteru, więc i obejścia, mianowicie z podwładnymi.

Jednostka kulturalna, duchowo rozwinięta, uszanuje każdą, choćby najmniej świadomą siebie godność ludzką; potrafi zapanować nad rozdrażnieniem swoim, utrzymać w granicach gniew najbardziej słuszny i najsprawiedliwszy.

Ale obok jednostek takich są i inne, będące prawdziwym biczem Bożym dla każdego, kogo los zmusił do zetknięcia się z niemi, lub co gorsza do pracy pod ich kierunkiem bezpośrednim. Jednak i w tych warunkach Marysia da sobie radę prędzej — z trudnego położenia wywikła się łatwiej: dziękuje za służbę i odchodzi. Panna Marya zaś, czy to nauczycielka, buchalterka, kassyerka, czy wreszcie szwaczka, kwiaciarka lub sklepowa, musi z konieczności być wytrwalszą.

Zaciśnie usta, zmilczy, wiedząc dobrze, iż chleb nawet goryczą zaprawny, jest niemniej

chlebem; że bez zarobku wyżyć niepodobna, a z rąk go wypuściwszy, nie łatwo inny znaleźć, wreszcie znalazłszy nawet, można posiadać jeszcze twardszy i jeszcze bardziej gorzki.

Zaczepona niegodnie, lub na wędkę czułych słówek brana podstępem, Marysia — jeśli wyniosła z domu rodziców dobry przykład i zasad moralności pozbawiona nie jest, może wobec pracodawcy szorstko się postawić. Wolno jej pięścią, po prostaku, ordynarnie potraktować napastnika; może to zrobić nie tylko bez ujmy dla siebie, lecz nawet z korzyścią. Pozyska szacunek, a chleba nie straci — w tym czy innym domu mieć go będzie bez wątplenia.

Panna lub pani Marya zmuszoną jest udawać, że nie rozumie półsłówki delikatnych, alluzji przejrzystych, wreszcie dwuznaczników, któreby raczej jednoznacznikami zwać należało, treść ich bowiem wątpliwości nie przedstawia. Gdy w końcu na propozycję jasną już, wyraźną, odpowie oburzeniem, traci grunt pod nogami natychmiast. To nie jeszcze, gdy traci go sama, gdy w wątlej łódce, którą steruje, niema chorej matki, niema męża bez posady lub drobnych dzieci — sierot. Gdy są w dodatku jeszcze oni, ciężki los czeka nieszczęśliwą. Walka uparta może długo się przeciągnąć, a dzień każdy nędzarza kosztuje w dwójnasób.

Niema dotąd prawa, któreby przewidziało takie przestępstwa srogie, wobec których kradzież z włamaniem, rabunek na publicznej drodze są płochą igraszką, błędem umysłu nie obznajmionego z pojęciem własności. Niema też instytucji, któreby takie stworzenia pokrzywdzone przygarneła, zwłaszcza z rodzinami, są tylko kantory, dla Marysi przyjazne i życzliwe, dla panny i pani Maryi chłodne.

Marysia jest dla kantorów rodzajem pionka popłatnego — tysiące rubli płyną za jej pośrednictwem z kieszeni pracodawców. Im czę-

ściej pionek-Marysię z miejsca na miejsce przesuną, tem większy daje dochód.

Pionek zaś pani Marya może ze stołu biurowego straconym być na ziemię, ponieważ ciasno tam i miejsca brak, i nadprodukcya wszędzie.

Obznajmiwszy się z robotą, Marysia idzie coraz wyżej, coraz jest śmielsza i pewniejsza dobrej doli. Gdy z poczwaraki „do wszystkiego” przedzierzgnie się w uzdolnioną niankę, zręczną pokojówkę lub kucharkę i utrzyma stale przy jednej specjalności, pensyę ma doskonałą, kufer ciężki i pościel, świadcząca o dorobku.

Panna Marya opłaca mieszkanie, jedzenie kupić sobie musi, ubrać się codziennie na ulicę — gdy zwiąże koniec z końcem bardzo jest szczęśliwa. O sprawunkach kosztowniejszych, oszczędnościach, marzy czasem, niekiedy określa ich termin już prawie napewno — widzi je niemal przed oczyma... Nagle pierzchają mary: ubyla jedna lekcyca, przyszła chwila na niemoc, pryncypał przyjął osobę protegowaną przez kogoś i oddał jej połowę zatrudnienia, połowę pracy, jaka dotąd do panny Maryi należała, skutkiem czego zmniejszy i zapłatę — te, albo tym podobne niespodzianki budzą biedaczkę ze snów przyjemnych do rzeczywistości. Jedno tylko stanowisko daje pani i pannie Maryi życie wygodniejsze, a nawet możliwość zaoszczędzenia pewnej sumki na „czarną godzinę;” jest niem posada nauczycielki domowej. Kandydatek i tutaj mamy nad potrzebę, a wymagania pracodawców przekraczają nieraz wszelką możliwą miarę. Są po prostu nie do uwierzenia.

Osoba poszukiwana przez nich ma obowiązek umieć tyle, że gdyby dziesiątą część programu jej nakreślonego, umysłowi swemu przyswoić zdołała, wystarczyłoby to w zupełności. Błaga zjawia się z pomocą — inaczej w takich razach nie przyszłoby nigdy do po-

rozumienia. Panna dwudziestoletnia, a czasem młodsza, oświadcza z całym przekonaniem, że posiada *wysoki* język polski, także i francuzki, włada angielskim i niemieckim, zna wybornie nauki przyrodnicze i historję, gra artystycznie, śpiewa, maluje w chwilach wolnych i pisze komentarze do utworów Zygmunta Krasińskiego; żąda znacznej pensyi, czemu nikt się nie dziwi i zostaje przyjętą bez wahania.

Zrozumieć łatwo, że chcąc nauczyć się tyle, panny musiałyby pracować od rana do wieczora; ponieważ to jest niemożliwe ze względu na ich zdrowie, młodość, która ma przed sobą jeszcze dosyć czasu, wreszcie stosunki towarzyskie, wyjazdy w sąsiedztwo i przyjmowanie rówieśniczek, nauczycielka obznajmia je z tem, co umie i jak umie, o ile czas pozwoli, dopóki ktoś z rodziny nie zakwestyonuje postępow jej pupilek, nie zgani gry, śpiewu, deklamacyi. Wówczas wysyła się list do biura pośredników, albo następuje wędrowka z kantoru do kantoru i poszukiwanie. Pani Maryi trafia się więc okazja zdobycia posady, ona jednak zdobyć jej nie umie środkami nakreślonymi powyżej i dlatego nie otrzyma. Woli wziąć pierwszą lepszą, średnio płatną lecz odpowiadającą jej uzdolnieniu w zupełności i jeszcze rozważa, jeszcze pewna siebie nie jest. Radaby pracodawców swoich zadowolić, z obowiązków przyjętych wywiązać się godnie. Że ją samą spotkać może zawód, o tem ani myśli, idąc naprzód z pełną wiarą i ufnością.

Czasem szczęśliwa gwiazda zaprowadzi panią Maryę do pracodawców, zdających sobie sprawę z trudności zadania. Intelligentni i rozumni wiedzą, że jedna osoba nie może w równym stopniu posiadać znajomości nauk, i języków, a tem mniej być obdarzoną kilkoma naraz talentami i uprawiać wszystkie. Pani Marya osiedli się na dobre, zaprzyjaźni całym sercem, żyje się z rodziną całą, pokocha blizkich jej i dalszych, podzieli troski, kłopoty i radości. Lecz panny dorastają i wychodzą za mąż, albo chcą się poświęcić specjalności jakiej, któraby im w razie zmian majątkowych, dała niezależność i wyjeżdżają na naukę. Pani Marya opuszcza ludzi dobrych, żegna pokoik, drzewa, pola i znów kolacze, szuka, dopytuje się o nowe miejsce, niemal prosi. Czasem je posiadzie na kwartał, na pół roku, czasem i na dłużej, lub też przeżywa w mieście grosz zaoszczędzony. Jako kasyerka lub sklepowa, pani Marya traci swą cenę razem z utratą wdzięków, gdy przemienie młodość; jako kwiaciarka, szwaczka, hafciarka z nadwątłym wzrokiem, pomimo zręczności i pospiechu przy coraz większej wprawie, zarabia nie więcej, niż poprzednio, tylko mniej.

Jako nauczycielka, w pracy, która wymaga ciąglej baczności i pilności, rozszerzania horyzontu myśli, przyswajania sobie nowych pojęć, pani Marya wyczerpuje siły, staje się nerwową. Dawna słodycz ją opuszcza, cierpliwość również—przychodzą chwile zniechęcenia i apatyi. To już nie ta pogodna, zawsze uśmiechnięta przyjaciółka uczennicy—chłod od niej wieje i surowość.

Wtedy pani Marya chwyta się pracy fizycznej, niby deski ratunku. Ale sił nie ma

wyrobionych, więc się szarpie i wyczerpuje ostatecznie.

Marysia tymczasem albo za mąż wyszła, uciulawszy posag, albo wysoko patrzy i zbiera pieniądze. Gdyby zechciała z jedną rodziną pracodawców spędzić całe życie, stałaby się towarzyszką, przyjaciółką, jak bywało niegdyś; gdy co rok lub częściej zmienia służbę, jej w tem chęć i wola, zawsze bowiem jest potrzebna i, w miarę zalet, pożądana.

Nadszarpnawszy zdrowie, Marysia o ile nie wraca do swoich, gdzie ją z otwartemi rękoma przyjmą, poszukuje służby lepszej; doświadczona jest, wybiera i potrafi wybrać. Ma teraz pensję większą, niż gdzieindziej, a pracy nie dużo w domu ludzi bogatych, utrzymujących kucharzy i kuchcików, lokai, lokajczyków, „młodsze“ i „podmłodsze.“

Gdy pani Marya dawno jest „pod wozem,“ Marysia na wozie rozsiada się wygodnie, nabiera pańskich tonów, delikatnieje i grymasi. Patrzy z góry na sługi domów mniej zamożnych, ostrożna w robieniu znajomości i wyniosła, nie przypomina osobą swoją w niczem dawnej Marysi „do wszystkiego.“

Gdy pani Marya umiera w szpitalu na ogólnej sali, Marysia gospodaruje na wsi, gdzie od brata grunt kupiła, lub jeśli woli miasto, wyszła za lokaja i nabyła sklepik lub garkuchnię. Pierwsza sterała zdrowie w pracy lichu płatnej,—druga, o ile w nowych warunkach potrafi sobie radzić i znajdzie w mężu energicznego pomocnika, nie zazna nigdy biedy.

Dla tych i wielu innych racyi, *współczujemy bardziej losom pani i panny Maryi, niż Marysi.*

Sz.



Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

IV.

Izio Pustopolski poruszył wprawdzie niebo i ziemię, aby zadosyć uczynić zleceniu Prezesowej, ale mimo to nie udało mu się wydostać rękopisu powieści Dobrojewskiego; w redakcyi odpowiedziano mu krótko i węzłowato:

— Nie mamy jeszcze całości, autor dostarcza nam manuskryptu częściami, bo robi poprawki i dotychczas dał tylko kilka rozdziałów.

Dowiedział się przy tej sposobności, że powieść będzie obejmowała dwa tomy, z których pierwszy zaledwie przygotowany jest do druku, nad drugim zaś autor właśnie pracuje i w tym celu wyjechał z Warszawy, aby niewiadomo dokładnie gdzie, ale zapewne na południu, może na Rivierze, a może we Włoszech, poświęcić się całkowicie swemu dziełu.

W przeciągu dwóch miesięcy nie spodziewano się go z powrotem.

Po usilnych staraniach biedny Izio przyszedł zmartwiony do Palewskiej i przyniósł jej tylko parę szpalt odbitki dalszego ciągu, którego mu jeden z współpracowników „Gazety porannej“ dostarczył w największej dyskrecyi, zjadłszy za to dwie kolacze w Europie i wypiwszy całą maszynkę kawy z mnóstwem koniaków.

Okazało się, że odbitki z takim trudem pozyskane były właśnie z feljetonu, który tego samego dnia ukazał się w rannym numerze „Gazety“ i że Prezesowa nawet o jedną dobę wcześniej nie mogła zaspokoić swej ciekawości.

Powieść rozwijała się powoli, ale przybywało w niej coraz więcej szczegółów, które dla osób wtajemniczonych stanowiły niezbity dowód, że „Piekło miłości“ było właściwie historją z prawdziwego zdarzenia i że główne figury ze swoim otoczeniem były portretowo niemal malowane z natury.

Czego autor wyraźnie nie zaznaczył, co tylko szkicowo w konturach nakreślił, to dopełniano i podrabiano domysłami, dosnuwano insynuacją, doszukując się większego podobieństwa z żywymi wzorami.

Pomimo ostrzeżeń i życzliwych rad Prezesowej, aby niezręczną taktyką nie nadać rozgłosu powieści Jula, w bardzo krótkim czasie stało się to, co ukryć zamierzało, sekretem Poliszynella.

Pierwsza Dobrojewska musiała się zdradzić, że „Piekło miłości“ jest podobno publiczną spowiedzią kuzyna, w której ten zwaryowany Julek wypisuje niestworzone rzeczy, o jakich się nikomu nawet nie śniło.

Unikając niby drażliwego tematu, nie mogła się powstrzymać, aby z zaufanymi przyjaciółmi domu nie rozmawiać o każdym świeżym odcinku „Gazety porannej“ i w całej swej naiwności nie dodawać od siebie komentarzy, które wbrew jej woli stawiały kropkę nad i.

I stało się tajemnicą publiczną, że powieść Julka Dobrojewskiego jest historją jego romansu z Misią Taniecką na tle satyry salonów warszawskich i całej sfery, do której sam należał.

Utwór młodego belletrysty, którego dotychczasowe próbki pióra uważano za dylectancką zabawkę, zaczął nagle nabierać niepospolitego znaczenia; mówiono o nim, zajmowano się nim, czytano skwapliwie każdy ciąg dalszy, uważano go nawet za sensację chwili bieżącej w kołach najbardziej interesowanych i osądzano z krańcową różnicą zdań, z których jedne przyznawały genialny talent autorowi, ogromną spostrzegawczość, niezmierną subtelność w pochwyceniu znamienych rysów psychologicznych i charakterystyki stosunków salonowych z niebywałą dotąd znajomością wyższego świata, a drugie zaprzeczały mu wszystkiego, począwszy od stylu i gramatyki, a skończywszy na uczciwości.

— To przecież ostatniego rodzaju lichota — mówiono, — z przyprawą skandaliczną, ze względu na osobistości, które palcem wskazuje najwyraźniej.

— Prosty paszkwil! — dodawali z oburzeniem inni.

— Zemścił się, że dostał odkosza od panny.

— Ale też ją osmarował, razem z mamą i wszystkimi ciociami!

— Przecież to kuzyn, blizki krewny?... — wtrącali jedni.

— Tem gorzej; brzydki ptak, co swoje własne gniazdo kala! — wołali drudzy.

Z tem wszystkim czytali jedni i drudzy, biorąc drukowane słowa za fakty, nie ulegające wątpliwości i nicując, każdy na swój sposób, przedstawione typy, z tem złośliwym zadowoleniem ludzi, lubiących bawić się cudzym kosztem.

Najsprytniej zachowywali się ci, których w tym kalejdoskopie powieściowym znajomi najłatwiej rozpoznać mogli, jak Pustopolski, Prezesowa i całe grono jej satelitów; chwaliłi, przesadzali w pochwałach, z udaną naiwnością dopytywali się:

— Kto to być może ten Czeczotka, albo ta Mądralewska?...

Stawiali umyślnie fałszywe domysły, aby odwrócić od siebie podejrzenia i skierować je na kogo innego.

— Można się nie godzić na takie nadużycie pióra—mówili,—ale trzeba przyznać, że to rzecz napisana z dużym talentem.

— O tak, co za werwa, jaka ironia, jaka prawda!

— A przy tem, jaka świeżość obserwacji, jakie typy, żywcem wzięte z natury!

— No, i język świetny!... ten Dobrojewski to stylistą pierwszej wody.

— To prawda. Tyle dowcipu, tyle gracy i elegancyi w piórze nie miał dotąd żaden z polskich autorów. Np. taki dyalog, jak we wczorajszym numerze, — czytaliście?... To zaraz poznać człowieka wyższej sfery.

— Dodajmy, że i francuzczyzna bez zarzutu, co się rzadko u naszych belletrystów zdarza.

— O, tak... na tym punkcie nasi pisarze szwankują najczęściej, bo też salon obserwują najczęściej przez dziurkę od klucza.

— I to z przedpokoju, — dodawali złośliwie przeciwnicy demokratycznych kierunków w literaturze.

Szczegóły, drobiazgi, pojedyncze rysy i figury zajmowały jednak czytających bardziej od głównego wątku powieści, w której postać bohaterki zasługiwała rzeczywiście na głębszą uwagę, a stosunek jej do Jerzego Marycza, mającego być sobowtórem samego autora, zapowiadał istotnie dramatyczne kolizje, prowadzące do niechybnej katastrofy.

W „Piekle miłości“ bohaterką była kobieta, która postawiona między dwoma kochającymi mężczyznami, z braku stanowczej decyzji wikła się coraz bardziej w krytyczną sytuację, nie mogąc odrzucić jednego, a nie chcąc przyjąć drugiego serca.

Ta bezradność kobiecej natury stanowiła dla autora bardzo wdzięczny motyw, z którego wysnuwał zlekka, zręcznie, psychologiczny proces dwoistych uczuć, ciężających, jak fatalność na trójce głównych figur, prowadzonych w coraz dotkliwsze powikłania.

Mama Dobrojewska, która nigdy w życiu swemi porcelanowemi oczyma nie mogła dojrzeć dalej po za koniuszek lekko zadar-

tęgo noska, była i teraz najmniej domyślną czytelniczką powieści Jula, w której sama nie byłaby odgadła własnej córki w bohaterce głównej, gdyby Prezesowa nie była zwróciła na to jej uwagi.

Czytała zresztą każdy numer z właściwym sobie roztargnieniem, szukała tylko wyraźnych alluzji do siebie i swej jedy-naczki, a gdy przypadkowo w danym odcinku tego zabrakło, odkładała dziennik z minką zawiedzioną i niemal z urazą do autora skarżyła się potem przed przyjaciółką:

— Et, dzisiejszy numer jest nudny!... uważałaś?... nie było ani słówka o Miszetce. Wczoraj ta scena przy fortepianie, kiedy Anka, niby nasza Miszetta, gra o zmroku „Warum,“ a Jerzy, czy właściwie Julek, całuje ją ukradkiem we włosy, to było ładne, prawda?... Chociaż, daję ci słowo, że Miszetta nigdy nawet nie grała „Warum...“ a nie przypominam sobie, czy kiedy sam-na-sam w salonie po ciemku siedzieli. Byłabym to przecież zauważyła. Najprzód ja każę zawsze lampy wcześniej zapalać, skoro się tylko zmierzchać zacznie, a potem Micheline była za dobrze wychowaną, aby z młodym człowiekiem przesiadywać po kątach i do tego bez światła!

— Palewska swoim zwyczajem przymrużała jedno oko, zaciągała się z papierosa i z sykiem parowej maszyny wypuszczając cieniutki strumień dymu, powiedziała jej otwarcie:

— Moja Peppo, tylko ty mi się ze swoją obserwacją nie odzywaj!...

— Ciekawa jestem dlaczego?

— Dlatego, że jako matka miałaś zawsze kurzą ślepotę.

Biedna Peppa aż się zarumieniła.

— Et, moja droga, ty masz passyę dokucać mi tą kurzą ślepotą! — odważyła się zaprotestować. — Mogłam wielu rzeczy nie dowiedzieć, ale przecież całego fortepianu i Miszетки z Julkiem nie byłabym prześlepiła!... Kiedy ci mówię, że ich sam-na-sam w salonie nigdy nie zostawiałam, to możesz mi wierzyć. Zresztą, choćby ją kiedy we włosy pocałował, to i cóżby w tem było tak złego?... kuzynowi wolno, może nie?

— Ależ tu nie o to chodzi!

— A o co?

— Nie zrozumiesz tego już chyba nigdy!... chodzi o to, że się kochali, a ty temu uwierzyć nie chciałaś, chociaż ci mówiłam.

Peppa tryumfującym śmiechem wybuchnęła.

— A widzisz, że się mylisz!... daję ci słowo, że się mylisz.

Prezesowa z godnością podniosła głowę i wyniośle spojrziała na przyjaciółkę.

— Ja?... mnie się to nigdy w życiu nie przydarzyło, upewniam cię.

— Ale tym razem pomyliłaś się, jak cię kocham; — szczebiotała dalej mamam Dobrojewska, ogromnie zadowolona z siebie. — Chcesz, to cię zaraz przekonam!

— Bardzo proszę!

— Chcesz, na prawdę?...

Zatrzymała się i z blyszczącymi oczyma patrzyła w nią przez chwilę, a potem rzucając się jej na szyję, zawołała:

— Ja przecież to wiem od samej Miszety!... spytałam się jej wczoraj.

— O co?

— O to, czy się kochała w Julku.

— Mówiłaś z nią o tem?

— A rozumie się!... dlaczego nie miałam mówić?

— Z jakiegoż powodu?

— No z powodu tej powieści Julka.

— Jaktó?... powiedziałaś jej o powieści?

— Ciekawa jestem, czemu nie miałam powiedzieć?... Przecież lepiej, że się ode mnie dowiedziała, aniżeli od kogo obcego. To już nie jest żadną tajemnicą! Zresztą, prędzej czy później byłaby się sprawa wydała, bo za głośno o tem wszędzie mówią.

Prezesowa ręce załamała.

— I cóż?

— No i nic; posłałam dzisiaj Miszetce cały komplet „Gazety“ przez Justynkę; niech sobie przeczyta.

— Ty posłałaś?

— A ja, bo oni nie trzymają „Gazety“, tylko „Słowo“, ale teraz pewnie zaprenumerują. Ja myślę, że to nawet wypada.

Palewska spojrziała na nią z dziwnym wyrazem politowania.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ŚWIATŁO ŚWIATŁA.



Jasny i czysty!... Blask Bożych promieni
Nie bywa czystszy — a na szaty białość
Włos, opadając, bujnie się pierścieni
A w Bozkich oczach błękitu wspaniałość!
Pokój na białem czole bezgraniczny,
W niebiańskiej ciszy swojej tak prześliczny,
Jakby z anielskich skrzydeł cichem wianiem
Z eudownem z nieba zstąpił ukochaniem...

Tak szedł Król światów!... A dokoła głowy
Różowo-złoty wieniec miał tęczyowy,
Tam — w nadgwiazdowych blaskach kędyś zwity
W cudną owiany ciszę — i w błękity.

Niewinnym dziatkom kwitł on — jak poranek,
Iż wyciągały rączki po ten wianek...

A Chrystus oczy na wierne Swe zwrócił
Spojrzał — i w Bozkim sercu się zasmucill...

On ujrzał z żalem, że błędni tory
Brzegiem otchłani zśliśmy dotąd stromej,
Że niczem dla nas Bożej pomsty gromy

I bohaterskie niczem pierwowzory!

Chrystusa słudzy?! A umiemyż kroczyć
Ofiarną, jasną, świętą wysokością?

Czyż nas połączył Jego krzyż miłością?

Czyśmy zdołali sercem się zjednoczyć?

O takżeż nędzne ludzkich serc ubóstwo,

By przyjąć formę — ale myśl umorzyć?

Z Jego nauki — kilka nauk stworzyć

I z jednej wiary wyznań wysnuć mnóstwo?

By tem znicestwić siły sił olbrzymie

Jedności chrześcian? Któż nadzieje ziści,

Gdy miłsza wiernym droga nienawiści,

Gdy się spieramy nawet w Jego imię!

Wierni — ach wierni! O! Jakżeście marni!

Pasterz wasz Jeden — a wieleż owczarni!

Paniel którego widzę, jako stoisz
 Miłością jasny — prześwietlony ciszą,
 Ty Panie sprawisz, że ludzie usłyszą
 Hymny aniołów! Ty dłonie rozbroisz!
 Ty nas powiedziesz drogą z gwiazd promieni,
 Nasycisz dziecię ziemi — które łaknie...
 Ty nam udzielił sił, których nam braknie,
 Jako Ty z Ojcem w on czas zjednoczeni
 Wstaniem — potężni wszechpotęgą duszy,
 Jej wtedy piekło i przemoc nie wzruszy;
 I spłynie w jedno wszystkich spiew kościołów
 I tu na ziemi zabrzmiał — hymn aniołów!

Adela Koneczna.



Adam Darowski.

Małżeństwo Bony Sforza.



(Ciąg dalszy).

III.

Więc i o Maryi angielskiej, tak jak i Eleonorze burgundzkiej, już potem nie słyhać. Zygmunt dziękował wszystkim za interesowanie się jego osobą, ale może w końcu znudzony, zastrzegł sobie decyzję i obiecał zawiadomić o niej. Pomiedzy pogłoskami, jakie zaczynały krążyć, znalazł się wreszcie ktoś, co wiedział i rozgądał prawdę. Puklerz Stanisław obchodził rozmaitych panów, nie wiem czy w Krakowie, czy w Wilnie, opowiadając, że król postanowił zaślubić księżniczkę Barską... co znów wywołało oportunistyczne zaprzeczenia otoczenia królewskiego, choć wypadało przyznać jednocześnie, że w tym kierunku robią się starania. Zaczęto więc domyślać się, że na niej się skończy, a nawet prymas pogodził się już z myślą, że nowej oblubienicy szukać trzeba raczej we Włoszech, niż gdzieindziej, z poręki cesarza, a nie kogo innego. Więc nowe szerokie i niemniej śmiałe, polityczne tym razem rozwija plany Łaski, i to wobec papieża, duchownego zwierzchnika Zakonu krzyżackiego i jednocześnie moralnego zwierzchnika królestwa neapolitańskiego.

Skoro monarcha ma nadzieję otrzymania wielkiego posagu za drugą żoną, wypadaloby spożytkować okoliczności dla dobra Polski. Objasnia nas o tem dokument archiwum Watykanu (armad. 14, caps 6, nr 50) bez daty, ale prawdopodobnie z końca r. 1516-go. Prymas wysłał wtedy w pufnej misji dyplomatycznej jednego z dworzan swoich, któremu dał taką instrukcję: Zygmunt ma się zareczyć z jedną z trzech panien, albo z Joanną Aragońską, siostrzenicą nieboszczyka Ferdynanda katolickiego, ex-królową neapolitańską (t. zw. *Triste Reyna*), albo z księżniczką Bari, albo z Eleonorą, siostrą Karola V-go, obecnego króla hiszpańskiego i spodziewa się otrzymać 200,000 dukatów posagu, które odda papieżowi Leonowi X-mu, pod warunkiem, aby J. Świątobliwość zabrał sobie zakon krzyżacki do Włoch, i zwolnił od nich granice Polski. Papież wyznaczy im posiadłości w Państwie Kościelnem i dochody takie, jakie obec-

nie pobierają. W ten sposób mógłby być zakończonym spór między W. Mistrzem Zakonu a królem polskim, który od niego składania hołdu wymaga i przysięgi na wierność, poczem król mógłby swobodniej zwrócić się z wojną przeciw nieprzyjaciołom.

Gdyby owe 200,000 dukatów nie wystarczyły, król z funduszków królestwa jeszcze dołoży. Ale jest jeszcze więcej w propozycji prymasa, mianowicie: gdyby dwie z tych księżniczek zgodziły się na swaty, w takim razie król jedną weźmie za żonę dla siebie, a drugą wyda za wielkiego hetmana, a więc zapewne za Konstantego Ostrogskiego, a oba posagi odda papieżowi, aby Krzyżakom Ravennę, lub inne miasto w Romanii, przeznaczył. Gdyby zaś król Karol V-ty oddał królowi siostrę swoją Eleonorę i w posagu wyznaczył miasto i ziemię w królestwie neapolitańskim, w takim razie możnaby je oddać W. Mistrzowi i Zakonowi krzyżackiemu, przemieścić ich na południe, a ziemię zakonnie (t. j. Prusy) oddać królowi. Gdyby papież to przeprowadził, zyskałby, gdyż Krzyżacy, osiedleni nad morzem — zapewne w Bari lub Ravenne — mogliby się zająć oczyszczeniem Adryatyku od korsarzy.

Plan był niewątpliwie bardzo pięknym, ale nieco fantastycznym, pomijając już to, że nasuwał wątpliwości co do wydania Bony lub Joanny IV-ej za jednego z hetmanów królestwa. Nie można jednak się dziwić, jeśli się pomyśli, że w r. 1511-ym cesarz Maksymilian powziął zamiar jeszcze fantastyczniejszy, kiedy wysłał biskupa Gurku, Langa, do Rzymu, aby przekupił kardynałów, celem wybrania cesarza za koadjutora Juliusza II-go i to z prawem następstwa na tron św. Piotra. Maksymilian i w listach swoich wtedy mianował się już „przyszłym Papieżem.“ Ale Juliusz II-gi wyzdrowiał — bo na jego rychłą śmierć Maksymilian liczył i zamysły się nie powiodły. Maksymilianowi chodziło o ustalenie wpływów swoich we Włoszech. Biskup Lang pojechał rzeczywiście do Rzymu w roku 1512-ym, gdzie mu Juliusz II-gi ofiarował kapelusz kardynalski, ale go biskup podobno nie przyjął, co znów nie przeszkadzało, że go odtąd nazywano kardynałem, boć w końcu przyoblekł purpurę.

IV.

W skutek wycofania Eleonory, wnuczki cesarza, z listy kandydatek, kończą się zabiegi na Bonie Sforza, księżniczce z miasta S-go Mikołaja, jak szczegół ten podnosi kronikarz świętokrzyżki, zresztą bardzo bałamutny w swoich wiadomościach. Justus Jadokus Decyusz, polski historyk owej chwili, objaśnia nas, w zgodzie z innymi źródłami, że cesarz „*memor reconciliatae gratiae*,“ sam namawiał Zygmunta do powtórnego ożenku, więc w Styczniu r. 1517-go wysłał hr. Herbersteina do Krakowa i Wilna, i razem z nim przyjeżdża goniec miłości, książę Chryzostom Colonna z miniaturą Bony. Biskup Piotr Tomicki czynnym jest w tej sprawie. Interes jednak idzie dobrze odrazu, miniatura podoba się królowi, tak, że Don Chrisostomo wysłał z Wilna gończykiem niejakiego Antonietta

do Bari, aby Izabelli radosną wieść zakomunikował.

W zamku Bari zapanowała radość, widocznie sprawa jest na dobrej drodze, i obie kobiety matka i córka, pragną, aby jak najrychlej przyszła do skutku. Nareszcie Bona wyjdzie za mąż, i to za króla! Antonietto może przywiózł miniaturę króla, a że Zygmunt jeszcze był przystojnym, poważnym mężczyzną, o twarzy energicznej, pięknych rysach, zatem nie pozostaje nic innego, jak tylko modlić się, aby sposobność nie minęła. Więc Izabella Aragońska pisze list do przeora kapituły w Modugno, miasteczku w księstwie Bari (tak jak i do innych księży), polecając mu, aby nakazał wszystkim księżom odprawianie co czwartek Mszy do Duchy Świętego i modlitw dla uproszenia Boga o zesłanie łaski „jakiej ona sobie życzy.“ (V. Faenza: „*La vita d'un commune*,“ Trani, 1899). Kapituła w Modugno odgadła myśl księżnej, spełnia naturalnie życzenia Izabelli i odpowiada jej w dyalekcie apulijskim: „*Pregano Dio tutti contrito corde, che passami vedere Sua Signoria matre de Imperatrice. Amen! amen! amen!*“

Odgadli, o co chodzi, ale nie wiedzą z kim mają być swaty, więc się modlą, aby Bona została cesarzową, albo raczej, aby Izabella została matką Cesarzowej. Ruch gońców między Bari a Wiedniem naprowadził ich na domysł, a wszakże Maksymilian jest wdowcem i to po Sforzównie! A może raczej jego syn, Ferdynand, ma ją zaślubić? Oczywiście o układzie z Zygmuntem i Władysławem węgierskim kanonicy z Modugno nie słyszeli...

I tak, jak poprzednio modliły się mniszki rzymskie w sprawie małżeństwa z Maksymilianem Sforzą, tak i teraz modlą się w księstwie, a choć się mylnie modlą, małżeństwo dochodzi z *Jesumondo de Appolonia!*

Zbliżamy się więc do chwili, kiedy spisaniem będą punkty intercyzy, bo ślub odbędzie się już niezadługo w Bari albo w Castelcapuano w Neapolu.

W Październiku r. 1517-go donoszą z Treviso, że przybyli tam posłowie polscy, jadący po Bonę; wie o tem kronikarz wenecki, Marino Sanuto. Posłowie wstępują do Wenecyi, potem, zdaje się, jeden z nich jest w Rzymie, ma posłuchanie u papieża, gdzie przedkłada sprawę kanonizacji św. Kazimierza Jagiellończyka, brata Zygmunta. Dziwna rzecz, relacja posłów Ostroroga Stanisława i archidyakona Jana Konarskiego, nie o tym pobyć w Rzymie nie wspomina, podczas gdy Sanuto ma o nim, jak zwykle, wiadomość. Owszem, z relacji ich zdawałoby się, że z Wenecyi, omijając stolicę papieżką, wprost podążyli do Bari.

Ale nie jadą tylko sami posłowie polscy z orszakami. Do Bari, albo raczej do Neapolu, oprócz Stanisława Ostroroga, kasztelana kaliskiego, który ma wziąć ślub *per procura* i archidyakona krakowskiego, protonotaryusza apostolskiego, Jana Konarskiego, zbliżają się inną drogą posłowie cesarza: Sebastyan Speranti i Augustyn Cemen. Ks. Jan Konarski był przytem tajnym sekretarzem królewskim (a segretis), a w Neapolu brano go za biskupa, bo nosił ponsową sutannę, czy też pele-

rynę, jak wspomina Passero, do czego zapewne specjalne upoważnienie od papieża otrzymał.

Ów Stanisław Ostroróg, posłany do Neapolu, był—zdaje się—synem Jana Ostroroga, wojewody poznańskiego, zmarłego w r. 1501-m, gdyż Jan Ostroróg zostawił dwóch synów: Stanisława i Wacława, urodzonych z księżnej raciborskiej, która znów była z domu księżniczki mazowiecką. Wiemy także, że Jan Ostroróg jeździł do Rzymu do Pawła II-go z obediencją od Kazimierza Jagiellończyka, ojca Zygmunta (w r. 1466-ym), ale przedewszystkiem znanym jest, jako autor słynnego traktatu „O naprawie Rzeczypospolitej,” a Stanisław towarzyszył Łaskiemu, naszemu prymasowi na konsylium Laterańskie, bawił w Wenecyi, więc już znał Włochy. On też postara się o to, aby królowi posłać jedwabną pończochę Bony i miarę talii na kawałku sznurka, będzie mu pisał o pięknych jasnych włosach, a rzęsach i brwiach czarnych księżniczki, o jej ładnych oczach, nosie prostym, ładnej płci i ustach, o całej osobie—jak powiada—zachwycającej. Bona, jak mówi, ma dużo wdzięku w ruchach, głosie, mówi po łacinie i to dobrze, doskonale tańczy, bo uczyła się od mistrzów, drogim kosztem sprowadzanych“ (J. Niemcewicz: „Zbiór pamięt. hist.,” t. V).

Po drodze, w Barleccie, posłowie nasi dowiadują się, że ślub odbędzie się w Neapolu, a nie w Bari! Potem znów rozpoczęły się niepewności co do terminu, gdyż matka, modląc się tak o wydanie córki, kiedy rzecz już była ułożoną, zaczęła opóźniać chwilę rozstania, raz z powodu mrozów, na jakieby Bonita w drodze natrafiła, gdyby przed zimą wyjechała, a potem dlatego, że ciężko jej było pomyśleć o rozstaniu na zawsze, bez nadziei ujżenia więcej jedynej istoty, jaka jej starość pocieszała. Bo Izabella nie mogła chyba już marzyć o wyjeździe do Polski, ona, która drogę z Bari do Neapolu konno, czy na mule jeszcze odbywała, jak wtedy w zwyczaju było.

(Ciąg dalszy nastąpi).



D-r Henryk Nusbaum.

PAMIĘĆ, JEJ ZNACZENIE W UMYSŁOWOŚCI I ETYCE.

Odczyt na Osady Rolne.



(Ciąg dalszy).

Jak różne są stopnie wrażliwości, tak bywają różne stopnie pamięci. Wrażliwości od pamięci, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, w rzeczywistości odłączać nie można; wszelkie bowiem wrażenie pozostawia w duszy naszej ślad, tylko, że ten ślad może być mniej lub więcej głęboko na tle duszy naszej zarysowanym, mniej lub więcej żywo w niej wibrować. Każde, nawet najkrócej trwające zjawisko, bądź co bądź odbywa się w czasie

i ma swój okres początkowy i końcowy. Otóż wrażliwość się w duszę naszą okres pierwszy danego zjawiska, musi w niej przechowywać się conajmniej tak długo, aż się wrazi okres ostatni, w przeciwnym razie nie moglibyśmy objąć całości żadnego zjawiska, a więc zgola żadnego zjawiska. Gdy widzimy n. p. zjawisko tak krótkotrwałe nawet, jak błyskawicę, przesywającą w ognistym zygżaku chmurę czarną, to i tu musimy, przyjmując wrażenie ostatniej linii zygżaku zapamiętać pierwszą jego linię, musimy pamiętać ostatnią chwilę przed wyłonieniem się pierwszej, inaczej nie zdołalibyśmy objąć całości obrazu. Musimy, co więcej, skojarzyć w duszy naszej wszystkie oddzielne chwile widziane i pamiętane w całość obrazu błyskawicy. Widzimy tedy, że w najkrócej trwającym wrażeniu świadomem czynną jest obok wrażliwości—władza pamięci i kojarzenia. Sama tedy *istota* wrażliwości świadomej związana jest z *pamięcią*. Obrazy pamięciowe wrażeń doznanych, tak słabo drgać mogą w duszy naszej, że wobec wrażeń innych, mocniej drgających, mogą się stawać dla nas samych zupełnie niedosłyszalnemi i znikać z pola świadomości naszej, ale właściwie istnieje w nas naprawdę pamięć niemal wszystkich doznanych kiedykolwiek wrażeń, tylko *pamięć nieświadoma*. I tylko przy kojarzeniu się obrazów pamięciowych, czyli pracy myśli, dany, słabo wibrujący, więc nieświadomie w nas zamieszkały obraz duchowy może być potrąconym, wprawionym w wibrację żywszą, stać się tym sposobem świadomym, *przypomnianym* obrazem. Otóż mogą obrazy pamięciowe tak słabo wibrować w duszy naszej, że przy zwykłym biegu kojarzeń nie dają się rozbudzić, albo też z większą lub mniejszą łatwością i szybkością wyłaniają się one na poziom świadomości—stanowi to o różnych stopniach żywości czy też dzielności pamięci. Dowodem, że obrazy pamięciowe bezwiednie żyją w duszy naszej i że do końca życia naszego mogą w tym sensym, utajonym pozostawać stanie, jest fakt, że ludzie w późnym wieku nawet, w pewnych okolicznościach, w pewnych stanach chorobowych układu nerwowego recytują wiersze, których się uczyli we wczesnej młodości, a których świadomie zupełnie nie pamiętali; często nawet mówią językiem, którego w młodości używali, a który, zdawało się, że zupełnie z pamięci im wyszedł.

Otóż ten posiada dzielną pamięć, u którego jak największa ilość nabytych wiadomości i doznanych wrażeń przechowuje się w tak żywej wibracji, że mieszczą się one tuż u progu świadomości tak, że przy lada potrąceniu myśli, wielkie bogactwo skojarzeń wypływa w dziedzinę *świadomości*.

Czyż trzeba dowodzić, że pamięć w szerszym i jedynie słusznym pojęciu jest konieczną we wszystkich najważniejszych dziedzinach czynności duchowych?

Że wiedza nawet bardzo wyspecjalizowana, wymaga ogromnej pamięci faktów, stosunków, praw, pojęć i t. d. to się samo przez się rozumie i właśnie ta mnogość treści, którą gieniusz ludzki zarzucając sieci badawcze w głębie czasu i przestrzeni ztamtąd wciąż wylawia, wywołała konieczność specjalizacji nauki.

Ale naprzód, po za uprawianą specjalnością koniecznym dla każdego człowieka jest pewne wykształcenie ogólne, czego dowodzić nie tu jest miejsce. A wykształcenie ogólne uwarunkowane może być jedynie dużą sprawnością pamięci; powtóre, każda najbardziej ograniczona specjalność, po za bogactwem wielkiem szczegółów w niej zawartych, może być wtedy tylko skutecznie uprawiana, gdy opiera się na podstawie wiedzy, bądź co bądź dużo szerszej, niż jej własny zakres, odnosi się to zwłaszcza do uczonych i badaczy rozwijających daną specjalną gałązkę nauki. Uprawiający nawet bardzo specjalną gałąź chemii musi znać chemię w jej całości, musi znać fizykę i wiele jeszcze innych gałęzi wiedzy i t. p. Doniosłość pamięci uwydatnia się i tam, gdzie pozornie wydaje się być niewielkiej wagi np. w pracach polegających na metodzie bezpośredniego doświadczenia. Fizyolog np. chce się przekonać o działaniu jakiegoś nowego środka na ustrój zwierzęcy, zdawałoby się, że wystarcza tu wprowadzenie danego środka do krwi zwierzęcia i obserwowanie jakie ono skutki wyrwie.

Jakież tu pole dla korzystania z pamięci? Otóż rzecz ta nie jest tak prostą. Fizyolog z góry musi pamiętać o tem, że niektóre środki działają tylko na układ nerwowy, inne na serce i naczynia, jeszcze inne na krew, na gruczoły i t. d., że z działających na układ nerwowy jedne wpływają przeważnie na korę mózgową, inne na nerwy obwodowe, z tych jedne na nerwy czuciowe, inne na ruchowe i t. d. Przedewszystkiem więc musi badacz pamiętać o wielu innych środkach, jak tamte działają, by mógł wyznaczyć właściwe cechy środka badanego i określić podobieństwa jego i różnice w porównaniu z innemi; powtóre znając cechy chemiczne lub fizyczne danego środka, z góry zdać musi sobie sprawę, w jakim przedewszystkiem kierunku ma badanie przedsięwziąć. Musi w każdym razie badać działanie środka na oddzielne narządy. Dalej przy danym doświadczeniu, pamiętać musi żywo, jakie narządy wzajemnie na siebie działające w organizmie mogą współcześnie być pod wpływem wprowadzonego do krwi środka i tem samem zmieniać czynność narządu badanego, który może sam bezpośrednio nie ulega wpływowi środka. Dla otrzymania ściślej odpowiedzi należy tedy unicestwić związek badanego narządu z tamtymi. Tu znowu trzeba pamiętać, jaki wpływ na narząd badany wywiera samo wyzolenie go z zależności od innych narządów—aby wpływu tego nie odnieść błędnie do działania środka badanego. Dalej pamiętać musi badacz o współczynnikach związanych z samą metodą wykonywania danego doświadczenia, bo można by wnioskować, że zmianę spostrzeżoną w działaniu badanego narządu spowodował środek wprowadzony do krwi, gdy tymczasem zależy ona od płynu, w którym środek badany został rozpuszczony, albo może tylko od rękoczynów chirurgicznych, wykonanych w celu wprowadzenia danego środka do ustroju i od przyrządów mających rejestrować mogące nastąpić zmiany. Musi dalej badacz pamiętać o wpływie możliwym wszelkich doświadczeniach towarzyszących warunków, czy to zależnych od stanu

zwierzęcia badanego, czy od środowiska, w którym badanie się odbywa, czy też od nieistotnych a przypadkowych tylko własności badanego środka. Wszystkie te fakty, wszystkie w grze tu być mogące czynniki wątpliwości i możliwości znać i pamiętać musi badacz. Rozumowej krytyce w wykonaniu naukowego doświadczenia przytomnie być muszą wszystkie cele, do jakich poszukiwanie dane zdąża, oraz wszelkie zarzuty, jakie możnaby wnioskowaniu z danego doświadczenia uczynić; obejmuje to zawsze ogromną ilość faktów, praw, stosunków przyczynowości i zależności, o których eksperymentator pamiętać musi.

Jeżeli ważną jest pamięć przy wnioskowaniu z doświadczeń doraźnych, dowolnie w danym ograniczonym okresie czasu dokonywanych, o ile ważniejszą jest jej rola w naukach polegających na wnioskowaniu z obserwacji. Obserwować zjawiska w przyrodzie, to znaczy korzystać jakoby z doświadczeń, które się dokonywają niezależnie od naszej woli, ale tylko wskutek zbiegu okoliczności w pochodzie czasu, z doświadczeń jakoby urządzanych przez samą przyrodę. Gdy chcemy badać działanie zarazka dżumy na ustrój zwierzęcy, uciekamy się do doświadczeń, zastrzykujemy zwierzęciu hodowlę bakterii dżumy — gdy natomiast chcemy badać działanie dżumy na ustrój ludzki, możemy oprzeć się na obserwacji tego wpływu, gdy nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, w danej miejscowości zaraza dżumy się pojawia. Obrazy chorób, które stanowią przedmiot medycyny, mogły być nakreślone tylko dzięki wielkiej pamięci obserwowanych objawów chorobowych, zarówno we współczesnym, jak i kolejnym ich występowaniu. Tak zwany zmysł spostrzegawczy, który musiał być potężnym u dawnych twórców zasadniczych podstaw nauki o chorobach, musiał iść w parze z potężną pamięcią map i pochodów objawów chorobowych.

Jakkolwiek wiedza lekarska wykładana w szkole, oparta na licznych doświadczeniach i spostrzeżeniach przeszłości i mistrzów samych, daje lekarzowi zasadnicze podstawy pracy jego zawodowej, nie mniej, wskutek olbrzymiej różnorodności usposobień osobniczych, oraz warunków powstawania i przebiegu złożeń chorobowych, kilka lat studyów szkolnych wymaga koniecznie dopełnienia ich późniejszym samodzielnie lekarza doświadczeniem w obszerniejszym znaczeniu tego wyrazu. Już wiedza lekarska, że tak rzekę, szkolna, wymaga olbrzymiej pamięci ale najmniej tej, która polega na zatrzymywaniu w niej licznych nazw chorób, albo liczniejszych jeszcze nazw środków lekarskich, lub ich dawek, ale żywej pamięci olbrzymiego mnóstwa wrażeń wzrokowych, słuchowych, dotykowych, węchowych i t. d. mnóstwa pojęć i faktów zależności i przyczynowości, mnóstwa odmian w ugrupowaniu onych wrażeń w przestrzeni i czasie. Lekarz pamiętać musi nie tylko barwy, kształty, szmery, wonie i t. d. ale także obrazy złożone, jak: wyraz twarzy chorego, zachowanie się jego fizyczne i psychiczne, niezmiernie powikłane stosunki przyczyn i skutków, to wszystko pamiętać musi lekarz, który tylko co nauczył

się medycyny w szkole. A teraz dopiero przychodzi samodzielne jego na własnych spostrzeżeniach oparte doświadczenie i poznanie. Sądzi się często, że każdy lekarz starszy, który dużo spostrzegał, lepszym jest lekarzem od zdolnego nawet bardzo, ale dużo młodszego. Otóż bardzo dużo spostrzegać, nie znaczy jeszcze wcale mieć istotnie duże doświadczenie, czyli posiadać *umiejętność korzystania z doświadczenia*. Lekarzowi, który bardzo dużo spostrzegał, doświadczenie wychodzi na istotną korzyść wtedy tylko, gdy tenże upasany jest w dzielną pamięć. I nie chodzi tu o pamięć nazwisk i imion najliczniejszych i najdawniejszych pacjentów, luźnych drobnych epizodów życia ich osobistego i rodzinnego lub towarzyskiego i t. p. ale o pamięć charakteru spostrzeganych chorób, ich przebiegu, pamięć dokładną warunków, w jakich dana choroba powstała, środków stosowanych i oddziaływania na nie ustroju, pamięć oczekiwanych lub nieoczekiwanych zwrotów w dodatnim lub ujemnym kierunku, pamięć tryumfów, błędów i niepowodzeń. Tylko lekarz z taką szeroką, trwałą i dokładną pamięcią staje się istotnie mędrszym na podstawie długoletniego doświadczenia. Przeciwnie, kto pamięci takiej nie posiada, ten im więcej spostrzega, tem bardziej w chaosie zjawisk, przyczyn i następstw się gubi i jako wędrowiec w gęstym lesie nie umiejący się orientować, tembardziej błąkać się będzie, im głębiej w las się zapuści. Lekarz, który nie pamięta wszystkiego, co pamiętać winien a tylko jaskrawsze pojedyncze przypadki pomysłne lub zawodne, będzie zawsze sugestywowany pojedynczymi spostrzeżeniami i zawsze na nowo błądzić będzie; lekarz, który pamięta tylko ostatni wybitniejszy przypadek, pozostawać będzie przez czas dłuższy pod jednostronnym, bezkrytycznym wpływem ostatniego tego spostrzeżenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Oprócz tak gruntownie zmodyfikowanego położenia w związku małżeńskim otrzymała chrześcijańska kobieta inny jeszcze przywilej, dotąd niepraktykowany: zostało jej dozwolone nie wychodzenie za mąż. Wzgardzone i nietolerowane dziewictwo przez nagły przewrót pojęć uznanem zostało za stan doskonalszy, niż małżeństwo. Wyższe uduchowanie się, oddanie się szerszym obowiązkom, wyrzeczenie się związków bliższych dla rozleglejszych poświęceń, uznano jako chwalebniejsze dla jednostki, a korzystniejsze dla ogółu, niż wypełnianie fizycznych celów kobiecości. Kobieta, przez dobrowolne obranie takiego położenia, stawała się osobiście niezależną, i spędzała całe swe życie nie tylko nietknię-

ta mężką ręką, ale także nie skępowana mężką wolą. Oddana w osobie Ewy „pod moc mężową,” w osobie dziewiczej Matki Chrystusowej wyzwalała się z pod tej mocy, ilekroć chciała iść za przykładem doskonałej czystości. Musiała wprawdzie wyrzec się w takim razie największych ziemskich rozkoszy — miłości i rodzicielstwa, ale wzamian otwierała się przed nią sfera rozkoszy nadziemskich, dostępnych dotąd tylko mężczyźnie, udostępniały się dla niej górne poloty ducha, szczytne oddanie się idei. To zaś zidealizowanie się i wysołecznienie mogło też wprowadzić ją na taką drogę, która wiodła na najwyższy szczyt równouprawnienia: kobieta mogła zostać świętą — i na ołtarzach odbierać tę samą cześć, co święty.

Gdy prawie jednocześnie z początkiem Chrystyanizmu rozpoczęło się jego prześladowanie, rozwarły się szeroko dla kobiety jeszcze jedne wrota, przez które dotąd wyjątkowo tylko przechodziła — bohaterstwo. Śmiałość wyznawców, mężtwo męczennic, dorównywały śmiałości wyznawców, mężtwo męczenników. I nie były to enoty rzadkie, wypadkowe; niewiast, podpisujących krwią swoją świadectwo Chrystusowi były legiony.

Przytoczymy niektóre z tych heroiczych bojownic, ale pierwej wypada naszkicować paru liniami powody i przebieg prześladowania Chrześcijan w Rzymie, do którego, po tej małej wycieczce do krainy ewangelicznej, powrócić nam należy.

Bezpośrednią przyczyną roli dziejowej, odegranej przez dane państwo, jest jego charakter narodowy: bezpośrednim zaś wyrazem tego charakteru są jego prawa, — jego kodeks tak ustrojowy, jak cywilny i kryminalny. Charakter narodowy Rzymian dał im władzę nad światem, prawa ich służyły do wzmocnienia i przedłużenia tej władzy. Ztąd niezmierna dbałość o praw tych zachowywanie i niezmierna surowość względem wszystkiego, coby je chociaż w najmniejszej rzeczy naruszało. Ztąd też srogość nieugięta względem Chrześcijan, ponieważ ci jawnie odrzucali religię, będącą ustawą państwową. W wewnętrznym przekonaniu dozwalało wierzyć, jak kto chciał; do sumień ludzkich żadna władza nie zazierała; ale zewnętrznie obywatel rzymski musiał czcić państwowe bogi, pełniąc urzędowe formalności kultu, — inaczej stawał się buntownikiem.

To też procedura sądowa względem oskarżonych o chrystyanizm, polegała nie na do-wiedzeniu im, jako przestępstwa, że spełniali prywatnie obrzędy jakiejś obcej wiary, lecz na zbadaniu, jak się zachowują wobec wymaganej czci publicznej. Dlatego poddawano ich natychmiastowej próbie, nakazując spalić kadzidło przed ołtarzem bóstwa, lub spełnić libację przed wizerunkiem ubóstwionego uosobienia państwa — panującego cezara.

W ogromnej większości wypadków Chrześcijanin nie tylko stanowczo odmawiał dopełnienia obrzędu, ale głośno i publicznie potępiał religię urzędową, nazywając ją szatańskim wymysłem. Wtedy zazwyczaj używano przeróżnych sposobów: namowy, prośby, groźby, wreszcie tortury — aby skłonić podda-nego do zewnętrznego aktu posłuszeństwa prawu — i zazwyczaj bezskutecznie.

Im bardziej zacina się opór, tem silniej wzmaga się żądza jego przełamania; zaczyna się od oderwanej dbałości o jakąś zasadę, o karność i uległość jakiemuś porządkowi, — kończy się na urażeniu osobistej pychy i rozkielznaniu własnego gniewu, dlatego, że czyjaś wola nie daje się podporządkować naszej woli. A wolna wola człowieka — to moc nad wszelkie moce. Można pokrajać człowieka na kawałki — nie można zmusić go, aby chciał — gdy nie chce.

Ztąd też w czasach przesładowań wychodziły pomiędzy sędzią a podsądnym te straszliwe walki, w których rozpętana wściekłość pierwszego usiłowała przełamać spokojne nieposłuszeństwo drugiego, i w zawziętej mściwości pastwiła się nad jego ciałem, tryumfując chociaż przemocą fizyczną, podczas gdy duch katowanego pogardą męki zwyciężał dręczyciela — i dumny, wolny, niezłomny — tryumfował mocą moralną.

Dawali się więc Chrześcijanie krajać na kawałki, ale zmusić się do posłuszeństwa nie dawali, klamać wewnętrznie przekonaniu zewnętrznym pozorem nie chcieli. Ztąd nie tylko kolidowały pomiędzy nimi a państwem, ale także ich niepopularność wśród lojalnych tego państwa poddanych. Przed sądami obwinieni o „sacrilgium“ względem bóstw narodowych i o „lesae majestatis“ względem cesarza, przed opinią publiczną byli oprócz tego oskarżani o rozmaite bezrozumne wierzenia i bezecne praktyki. To ostatnie nie zawsze było tylko nienawistnym uprzedzeniem; czasami bywało prosto nieporozumieniem. Mianowicie poganie — wiedząc bardzo mało o tajemnic pełnej wierze i ukrywanych pod ziemią jej obrzędach — nie umieli rozróżnić prawowiernych Chrześcijan od odszczepieńców, i co zasłyszeli o dziwacznych nieraz pojęciach i czasem sprośnych obrzędach tych ostatnich, to do wszystkich uogólniali.

Zdarzali się bowiem w chrześcijańskiej gminie już od czasów apostolskich różnorodni sekciarze, przekształcający tak zasady religijne, jak i formy kultu samowolnie, podczas gdy Chrześcijanie pierwotni, to jest ci, którzy „Zgromadzenie“ swe, czyli „Kościół“ nazywali „Powszechnym“ czyli „Katolickim“, trzymali się ściśle swoich tradycji ustnych i pisanych, dzięki ściślej centralizacji duchownej władzy w ręku jedyne go Arcykapłana i ostatecznej do niego instancji w razie sporów teologicznych. Ci Chrześcijanie *par excellence* wykluczali ze swej Ekklezyi każdego, kto wbrew autorytetowi Pontifexa chciał coś tłumaczyć lub przeinaczać wedle własnego rozumienia, i w ten sposób zachowywali doktrynę nienaruszoną.

Rozumie się, że o tych różnicach nie mieli najmniejszego pojęcia poganie; Chrześcijanie Gnostycy, uważani byli przez nich za to samo, co katolicy Chrześcijanie, a nonsensy jednych sekt, sprośności drugich spadały na wszystkich bez wyjątku wyznawców jakiegoś „Chrestosa.“ Przytem Żydzi, mający swe wpływy w Rzymie, a uważani za kompetentnych w sądzie o wierze z łona ich wiary powstałej, z semicką zawziętością szerzyli jak najgorsze o odszczepionych od swego Zakonu opinie, a baśnie o ofiarach z żywych dzieci,

o pożywaniu ludzkiego ciała i t. p., miały powszechny kurs wśród pogan.

Sposób życia Chrześcijan mógłby wprowadzić stanowić argument przeciwko pomawianiom o występki; był on jednak wysoce niesympatycznym dla rzymskiego świata. Do uprzedzenia polityczno-religijnego przyłączył się tu czynnik psychiczny osobistej natury i wzbudzał głęboką niechęć przeciwko ludziom, których postępowanie stało w skrajnej sprzeczności z powszechnym obyczajem. Ich wstrzemięźliwość, ludzkość, łagodność, drażniły rozwiązłych, samolubnych, okrutnych; ich poszanowanie człowieka i zamiłowanie pracy oburzały pysznych, którzy niewolnika deptali, a pracą, jako czynnością niewolniczą pogardzali; ich cnoty rodzinne, domowe, obywatelskie stanowiły paralelę, gryzącą, jak sól w oku dla wszystkich spiących sumień, w których pomimo odrętwienia moralnego, przykłady te budziły chwilowo dreszcz niepojętej trwogi. Skutkiem takich przebudzeń było dla jednych — zbliżenie się, uświadomienie, a następnie przejście do grona wyznawców, dla drugich — tłumienie wahań i trwóg wewnętrznych jeszcze większą zatwardziałością i nienawiścią.

Sfery rządzące drażniła i podniecała przeciw Chrześcijanom nie tylko ich oporność względem prawa, występująca jedynie wtedy, gdy prawo państwowe sprzeciwiało się prawu Bożemu, lecz także ich umiejętność obchodzenia prawa w celach praktycznych, gdy szło o zrzeszanie się współwyznawców, konieczne dla zachowania i krzewienia ich wiary.

Państwowe prawo rzymskie, chcąc samo w sobie być punktem centralnym wszelkiego zjednoczenia, zakazywało wszelkich stowarzyszeń, korporacji i związków, a dla zabezpieczenia władzy od analizy i krytyki podwładnych wszelkie tajne zgromadzenia, schadzki i narady uważało za niesubordynację, spiskowanie i bunt. Jedyne dozwoloną w tym rodzaju rzeczą były „collegia tenniorum“, czyli stowarzyszenia pogrzebowe, które zazwyczaj początkowo ubodzy plebejusze, dla ochrony grobów swych w podziemnym Rzymie. Kollegia te, jako nie mogące zawierać w sobie nic niebezpiecznego dla państwa, upoważnione były do posiadania własnej wspólnej kassy i miały pozwolenie na zbieranie się swych członków w katakumbach cmentarnych. Skorzystali z tego Chrześcijanie, utworzyli swoje „bractwo pogrzebowe“ pod osłoną sankcji legalnej — i katakumby stały się ich punktem zbornym, miejscem narad, administracji, modłów i ofiary, zarówno jak ostatniego spoczynku. Żywotność Kościoła ukryła się pod skrzydłem śmierci, a wielki Rzym umarłych pod wielkim Rzymem żyjących został stolicą pierwotnego Chrześcijaństwa.

Świat pogański odczuwał, że pod fundamentami jego gmachów drgają zaczątki jakichś nowych form życia społecznego, że te potężne fundamenty rysują się zwolna od tych skrytych wstrząśnień podziemnych, ale nie przypuszczano wcale, aby to mogła być jakaś ewolucja spokojna i bezkrwawa; przeciwnie, wierzone powszechnie, że pod obłudnymi pozorami pokory i słodyczy związek pozornie religijny tylko knuje straszne spiski,

w celu przeprowadzenia najskrajniejszych zmian socjalnych najgwałtowniejszymi środkami.

Ztąd też płynęły nienawiść i przesładowanie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wystawa wiosenna.



W salonach Krywulta na otwartej niedawno „wystawie wiosennej“ widziałem dużo ust, skrzywionych lekceważeniem, słyszałem słowa: „bazgranie“, „dziwactwo“, „waryaci“, „Czemuż to, czemuż taka niechęć, prawie gniew.“

— „Bo to widzi pan, tym „secessyonistom“ przewróciło się zupełnie w głowie, chcieliby sami nie wiedzą czego, byle coś innego, niż było dawniej, byle całkiem coś innego...“

— Chmury codziennie inne mają kształty, codziennie w inne blaski stroi je słońce o wschodzie i zachodzie, a przecież choć zawsze inny, zawsze ładny i zachód, i wschód, i chmury też. Jeśli więc świat przyrody, choć w każdej chwili odmienny, zawsze piękny, niema racji mówić o sztuce, że ona brzydka dlatego, bo jest lub chce być inną, niż dawniej...“

— E, pan też secessyonista! — obrócił się na pięcie i wyszedł, zły, że nie znalazł tego, do czego jego oko się przyzwyczało — szablonu.

*Der Zeit ihre Kunst —
Der Kunst ihre Zeit.*

Na wiotkim budynku „secessyi“ wiedeńskiej taki umieszczono napis i wielka prawda jest w tym dwuwierszu: Każda epoka innej potrzebuje sztuki i każda sztuka ma swoją epokę.

Tolerancja tego aforyzmu bardzo sprawiedliwa. I my miejmy też tolerancję dla wszystkich objawów sztuki, dla wszystkich jej prób, szamotań się, usiłowań, ideałów!...

Ale znajdą się tacy, którzy powiedzą: „No dobrze, tolerancja tolerancją, ale wszystko to, czem nas na tegorocznej „wiosennej“ traktują, to już *vieux jeu*, na zachodzie przebrzmiało dawno, było rodzajem fermentu, udoskonalilo technikę, indywidualnościom dało śmiałości i już tam teraz nikt nawet o tem nie mówi, już to nudzi...“

Czy słońce u nas dlatego mniej piękne, że później wschodzi, niż nad „Złotym Rogiem?“

Czy wiosna u nas dlatego nie miałaby być wzystunem jesiennych zbiorów, że jest późniejszą, niż nad Tybrem?

— No tak, tak, ale na naszej „wiosennej“ są tylko same próby...“

Nie.

Staję przed obrazem Franciszka Siedleckiego: „Dostojna para,“ i czuję, że mi piękne linie i piękne barwy wchodzą w duszę i że w niej rozpoczynają uszlachetniające działanie, którego ślad nigdy nie zaginie.

Chapeau bas przed tem dziełem.

Chapeau bas przed artystą, który je utworzył.

To już nie próba, o nie, to prawdziwe piękne, doskonałe dzieło pierwszorzędnej wartości. Mówisz, że ten obraz przypomina dzieła wielkiego Alma Thademy... Nie wiem, może być, zresztą wszystko jedno, to piękne.

Inny obraz tego artysty: „Zstępujący.“

Gdy nań patrzałem, miałem wrażenie, że mi wzrok i myśl otula jakaś mistyczna, rzadko widziana sfera. Rysy twarzy „Zstępującego“ tak piękne i tak nie codzienne, że ich nie można zapomnieć. Kto jest „Zstępującym?“ — może Chrystus.

Są ludzie, którzy opowiadają, że wśród skwaru południa lub o zmroku widzieli w leśnym gąszczu jakieś tajemnicze głowy bez tułowia. Na obrazie p. F. Siedleckiego p. t. „Gąszcz” jest taka głowa. I to praca bardzo ładna.

W ogóle wszystko, co ten artysta na tegoroczną „wiosenną” nadesłał, to objawy istotnego, oryginalnego talentu, posiadającego nie tylko śmiałość w obmyśleniu jakiegoś dzieła, ale też wytrwałość w jego wykonaniu.

Prace M. Wawrzenieckiego przypominały mi słynne, w kolorycie dziwne „legendy” Burne-Jones’a. Nie trzeba wzruszać ramionami, przechodząc obok płócien Wawrzenieckiego — o nie! Ani technika tych dzieł: doskonała, brawurowa, ani ich myśl, pełna fantazyi, poezyi, a czasami gryzącej ironii, na lekceważenie nie zasługują.

Bardzo ładne obrazy: „Niewolnica” i „Legenda.”

A czyż to nie doskonała satyra, ten przyglądający się setkom trupów, krwawy król assyryjski Aszczurnasirpal?

Wawrzeniecki, to malarz-poeta.

Pokrewny duchem Siedleckiemu i Wawrzenieckiemu jest Feliks Jabłczyński. Fragmenty bajek tego artysty, to bardzo poetyczny, bardzo nastrojowy, a w technice bardzo śmiały cykl. Fragmenty „Księżyc” i „Biała ulica” może najdoskonalsze, najbardziej takie, które do serc mówią. Pięknem dziełem jest też witraż tego artysty — interesującym studjum „Jabłka.”

W doskonałe, bardzo artystyczne i pełne siły formy ujął Kazimierz Stabrowski demoniczną postać, jaką p. Siemaszkowa nadała bohaterce dramatu Brzozowskiego „Mocarz.” Ten portret, to już jakby nie portret, ale wizya...

— ...Zgoda, na wszystko ostatecznie zgoda, ale na malowanie srebrem p. Wyszyńskiego, to już absolutnie zgodzić się nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo nikt tak nie maluje.

— A ja się zgadzam, bo to i ładne i dobrze oddaje ton mgieł wiosennych, które czasem nad ranem błyszczą tak, jakby były naprawdę ze srebra.

Trudno omówić wszystkie dzieła — nadesłano przeszło sto prac — omówiłem szerzej tylko te, które mi się nadawały do wykazania, że „wiosenna,” to bynajmniej nie wystawa śmiałych, młodych prób, ale istotnych wartościowych dzieł sztuki.

Prócz wymienionych, przyczynili się do nadania wartości wystawie artyści tej miary, jak: Gawiński, Kamiński A., Kowalewski, Mączyński, Pillati, Trojanowski, Uziębło, Weiss i Ziomek.

W dziale rzeźb najwięcej zainteresowania budzą prace Biegasa. Wszystko, co ten artysta nadesłał, to nie szablon, lecz dzieła w pomysle i technice nowe i świeże.

Nasuwa się zapytanie: Czy słusznym jest, że w dyskusjach o sztuce używa wielu przymiotników „nowy” i „świeży” w znaczeniu synonimów „piękna” i „dobroci,” wyobrażając sobie, że jakieś dzieło musi być koniecznie pięknem, jeśli tylko jego technika lub pomysł są nowe?

Mnie się zdaje, że to zupełnie fałszywe. Sama chęć stworzenia czegoś nowego, odmiennego, niż dawne, to tylko dążenie do rozszerzenia granic piękna — ale jeszcze nie piękno.

Dopiero wtedy jest artysta zdobywcą istotnego sukcesu, jeśli mu się uda stworzyć coś nowego i pięknego zarazem.

Nie jedna z prac Biegasa, to taki istotny sukces artystyczny — rozszerzenie granic wielkiego państwa sztuki.

Najśmielszymi z nadesłanych dzieł, a przytem pięknymi, to Fantazyje: „Przecucie” i „Król grzechów.” Bardzo charakterystycznym jest biust słynnej malarki Olgi Boznań-

skiej. Rzeźba zatytułowana „Pięć tajemnic,” to jakby próba stworzenia nowożytnego... sfinksy, ale ja wolę te dawne, potworne diwadła przedwiekowej sztuki.

Bardzo poprawne prace — zwłaszcza grupa „Z targu,” jest doskonała — nadesłał na wystawę Jan Góralezyk.

Pięknem, przypominającym techniką prace Rodin’a dziełem, jest rzeźba St. Ostrowskiego „Z odlamu.”

Gilbert.



A. B. de Guerville.

Szkice z Japonii.



VI.

Prawdziwa „Madame Chrysanthème.”

Tę przygodę opowiedział mi młody Anglik. Powtarzam ją, bo dobra i prawdziwa. Okręt japońskiej kampanii parowców „Yusen Kaisza” całą siłą pary płynął z Nagasaki do Hiroszima. Siedziałem na pokładzie z lordem A., dwudziesto-kilkoletnim młodzieńcem, silnym, jak tur, upartym, jak kozieł i skromnym, jak panienka — nie dzisiejsza.

Rozmawialiśmy o powabach Nagasaki, wspominałem, że Loti „opisał je barwnie.”

Usłyszawszy to nazwisko, mój Anglik zerwał się, poczerwieniał i zawołał:

— Loti! Wierutny kłamca! A jego „Madame Chrysanthème” What a joke! (Co za farsa!).

Zaklął półgłosem i zwracając się ku mnie, rzekł:

— Muszę też panu opowiedzieć przygodę, która mi się zdarzyła w Nagasaki. Zresztą chciałbym, żeby się to rozeszło po świecie i żeby ludzie stracili wiarę do bajek Lotiego.

— Otóż słuchaj pan. Jadąc z Szangaju do Nagasaki odczytałem — po raz już nie wiem który „Madame Chrysanthème” i powiedziałem sobie: „Jeżeli ona jeszcze żyje, muszę koniecznie ją odszukać i wyciągnąć ją na zwierzenia. Tak, urządzę wywiad. Wiemy, co myśli o niej Loti — bez najmniejszej ceremonii napisał to i ogłosił drukiem. Teraz trzeba się dowiedzieć, co ona myśli o nim. Ha! panie oficerze marynarki, znamy pańskie, poznajmy i jej wrażenia.

To też zaraz po przybyciu do Nagasaki i rozgoszczeniu się w hotelu, sprowadziłem najlepszego przewodnika i pytam go:

— Czyś słyszał o „Madame Chrysanthème?”

— He! he! — odpowiada z uśmiechem głupkowatym.

— O żonie Piotra Lotiego? — dodaję w drodze objaśnienia.

— He! he!

— Czy ją znasz?

— He! he!

— Czy wiesz, gdzie mieszka?

— He! he!

— A więc prowadź mnie do niej.

Wykrzywił twarz jeszcze bardziej w uśmiechu i zawołał: „Ne, ne.” Zrozumiałem wreszcie, że „Madame Chrysanthème,” znudzona wywiadami turystów z całego świata, schroniła się na wsi. Przewodnik obiecał wyjednać

dla mnie posłuchanie i to tego samego dnia; ale dowodził, że trzeba użyć protekcji paru osób i że koszty audyencji wyniosą około pięćdziesięciu dolarów.

— Mniejsza o dolary — odparłem, uważając, że osiągnięcie marzeń warte więcej. Wyszedł dla ułatwienia mi wizyty, a ja tymczasem udałem się na śniadanie do konsula. Przy deserze, zaproponował mi spędzić razem popołudnie u jego kolegi. Zgadzam się na półgodzinki, objaśniając, że potem muszę wrócić do hotelu, gdyż mam wywiad u „Madame Chrysanthème.”

— Jakto u „Madame Chrysanthème?” — pyta konsul zdumiony.

Powtarzam mu obietnicę przewodnika.

— A tak! — mówi, z uśmiechem zagadkowym.

Idziemy do drugiego konsula. Zastajemy kilkanaście osób przy likierach i czarnej kawie. Siadam, piję, palę i po pół godziny chcę wychodzić, ale maie zatrzymują.

— Dajcie mu pokój — wtrąca mój konsul z uśmiechem, — spieszy się na bardzo ciekawe rendez-vous z „Madame Chrysanthème” — ni mniej, ni więcej.

Zaledwie te słowa wymówił, całe towarzystwo wybucha śmiechem. Płaczą, śmieją się, jak gdyby dostali epilepsyi.

Naturalnie jestem oburzony i zły, a to tem bardziej, że nie rozumiem powodu wesołości. Wreszcie śmiechy ustają i konsul, zwracając się do innych, powiada:

— Moi drodzy, lord A. jest mi gorąco poleconym i uważam sobie za obowiązek prawdę mu powiedzieć.

— Daruj pan te śmiechy — mówi do mnie — ale nie mogliśmy się wstrzymać, bo choć w Nagasaki jest przynajmniej ze sto „Madame Chrysanthème,” imię bardzo pospolite, — ale ta, której pan szukasz — „Madame Chrysanthème” Lotiego, nie istnieje wcale i nigdy nie istniała, oprócz w wyobraźni romansopisarza.

— Niepodobna! — wołam — a domek? a ślub, a to, co było potem?

— Wszystko to dzieje się w Japonii. Takich domków jest setki na wzgórzu. Loti przyglądał im się z pokładu swego parowca. Ślub, żona i reszta zrodziły się w jego bujnej fantazyi.

Nie chciałem dawać za wygraną.

— Ależ znam wielu turystów, którzy widzieli „Madame Chrysanthème” na własne oczy — protestowałem.

— O tem nie wątpię, — odrzekł konsul. — Pokazywanie „Madame Chrysanthème” turystom jest od lat kilku głównym źródłem dochodu tutejszych przewodników. Skoro spostrzegli i zrozumieli, że wszyscy cudzoziemcy przybywają do Nagasaki z książką Lotiego w rękę i gotowi są dobrze zapłacić za ujrzanie jego bohaterki, za parę dolarów gotowi są pokazywać prawdziwą „Madame Chrysanthème,” ale wciąż inną. Taksa waha się pomiędzy pięciu a stu dolarami, stosownie do wartości bagażów.

— Oto moja przygoda — kończył lord A., zaciągając się dymem cygara. — Loti! — dodał — to oszust i blagier, ale go zdemaskuję!

Tłóm. E. Żm.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Opera.—Filharmonia.—Śliwiński.—Ks. Perosi.—Orkiestra Filharmonii berlińskiej i Artur Nikisch.—Koncerty Windersteina w „Dolinie.”—Koncerty „Lutni” i „Pieśni.”—Nowości muzyczne.

Opera nasza zbliża się już do zamknięcia sezonu, stanowczo o wiele lepszego dla niej pod każdym względem od lat poprzednich. Wprawdzie reżyseria i w roku bieżącym nie uniknęła kilku błędów, polegających na wystawieniu paru dzieł, z góry skazanych bądź na upadek, jak „Adryanna Lecouvreur” Cile’a, bądź też na żywot suchotniczy, jak „Marya” Melcera, błędny te jednak sówicie powetowała wprowadzeniem na repertuar „Chopina” Orefice’go. Powodzenie wielkie, jakie zdobyło sobie nowe dzieło, i nieustający napływ publiczności, czyniący z „Chopina” widowisko kassowe, powinny służyć za wskazówkę dostateczną dla kierowników sceny naszej, czego ta publiczność żąda, i w jakim kierunku powinien być prowadzony repertuar. Nie wznawiania utworów zadawnionych, nie częste występy gości zagranicznych, wreszcie nie przygodne wystawianie tej lub owej opery, gwoli dostarczeniu pola do popisu „obietźysasom” zagranicznym, ale zapoznanie miłośników naszych z utworami istotnej wartości, tudzież wytworzenie ze swojskich sił artystycznych dobrego i zespiewanego zespołu, zapewnić mogą jedynie prawidłowy rozwój repertuaru i przekonać publiczność do nawiedzania częstszego teatru. Najlepszym tego dowodem jest właśnie „Chopin.” Znalazło się wprawdzie kilka głosów oponentów (gdzie ich niema!), które w imię domniemanej profanacji usiłowały protestować przeciwko wystawieniu opery, uwitej z pomysłów nieśmiertelnego mistrza naszego; wobec jednak zgodności zachwyty mas, porwanych czarem cudnych melodii Chopina, tudzież wobec rzeczywistych zalet pracy kompilacyjnej Orefice’go, nad głosami onemi można spokojnie przejść do porządku dziennego, i żyć tylko, abyśmy częściej mogli słyszeć na scenie naszej dzieła tej wartości, tak wielki urok wywierające i tak świetnie przygotowane i wykonane, jak to ma miejsce z operą omawianą.

Filharmonia po skończeniu wszystkich serji wieczorów abonamentowych dała w okresie sprawozdawczym kilka koncertów nadzwyczajnych, uwieńczonych niezwykle powodzeniem. Wystąpili na nich: znakomity pianista, Józef Śliwiński, ksiądz Lorenzo Perosi w podwójnej roli kompozytora i dyrygenta, oraz słynny kapelmistrz, Artur Nikisch, na czele niemniej słynnej orkiestry Filharmonii berlińskiej.

O Śliwińskim rozpisywać się szerzej nie będę; — zbyt dobrze każdemu znana jest gra jego i stanowisko, jakie dzięki wyjątkowo pięknemu tonowi, oraz polotowi samodzielności odtwórczej świetny ten pianista w szeregu wirtuozów współczesnych zajmuje; wystarczy ztwierdzić, że artysta i tym razem nie cił zachwyty olbrzymie i święcił tryumfy rzetelne, a w zupełności zasłużone. Pozostaje mi przeto zdanie sprawy jedynie z koncertów ks. Perosi’ego i orkiestry Filharmonii berlińskiej.

Tyle już w pismach zagranicznych i naszych zużyto papieru i farby drukarskiej ku chwale imienia księdza Perosi’ego, że mając dziś ułatwione wejście od razu in medias res, roztrząśniami przedewszystkiem pytanie: co mianowicie uzasadnia ową chwałę, rzucającą tak długie, z półwyspu Apenińskiego powyżej środkowej Europy sięgające promienie? Na czem tedy polega wielkość tego kompozytora i niezwalczona siła jego oddziaływania, której nie opierać się, lecz wierzyć w porządku ducha wypadałoby zwykłym śmiertelni-

kom? Po wysłuchaniu trzech jego oratoryów: „Bożego Narodzenia,” „Zmartwychwstania” i „Sądu Ostatecznego,” a przypomnieniu dwóch innych, wykonanych dawniej: „Wskrzeszenie Łazarza” i „Mojżesza,” otrzymamy na pytania te odpowiedź, że aczkolwiek sława ks. Perosi’ego ugruntowuje się bezwarunkowo na talencie jego kompozytorskim, nie mniej jednak wiele do uczynienia jej bardziej rozgłosną przyczyniły się: wyjątkowość zjawiska, jakie przedstawia muzyk i dyrygent w szacie kapłana, wymachujący pałeczką i rzucający się ruchami nerwowymi pełnego temperamentu południowca na estradzie koncertowej, a jeszcze więcej, umiejętna reklama, jaką Italia nowoczesna umie otaczać synów swoich. Bo to nie ulega wątpliwości, że fama dochodząca do nas z Włoch o genialności kompozytora-kapłana, o wielkich zamysłach jego w dziele reformy muzyki kościelnej, o doskonałości bezwzględnej jego utworów i t. p. okazała się pod pewnymi względami nieco przesadzona, a na wyżej wymienionych dziełach jego łatwo dojrzeć nie jedną, a wcale wydatną skazę. Cokolwiekby dałoby się powiedzieć o organizacji artystycznej O. Perosi’ego, przebiega z niej bezwątpienia duży nawet talent kompozytorski. Talent to wprawdzie czysto operowy, posługujący się chętnie dekoracyjną plastyką muzyki dramatycznej i obrazowej, daleki od pogrążania się w ekstazie religijnej i w powadze surowej, a przeciwnie nie gardzący efektami bardzo nawet światowemi, lecz wnosi on do dzieł kapłana-muzyka przyzwoitą kulturę, pierwiastek melodyjności płynnej i przystępnej, nie pozbawionej chwilami wyższego polotu, temperament artystyczny, dużą wprawę kontrapunktyczną, wreszcie wielkie poczucie kolorytu w instrumentacji, zazwyczaj dobrej, barwnej i starannej. Talent ten jednak nie skryształizował się dotąd należycie, nie doszedł do stopnia zupełnej samowiedzy kompozytorskiej, a szuka jeszcze drogi odpowiedniej dla swego rozwoju, błądząc niejednokrotnie po manowcach. Manowcami temi należy nazwać podleganie różnym wpływom obcym i szkołom. Z więzów niektórych z nich, jak z wpływu jałowej, konserwatywnej szkoły ratybońskiej, wyzwolił się ks. Perosi, sądząc po ostatniej pracy — „Sądzie Ostatecznym,” już zupełnie, natomiast wciąż jeszcze pozostaje w zależności od twórców stylu starożytnego XVII-go stulecia (Händla i Bacha), oraz od koryfeuszów świata muzycznego czasów najnowszych (Wagnera, Verdiego), a nawet modernistów dzisiejszych (Mascagniego i Pucciniego). Odbija się to na formach i rozwoju oddzielnych pomysłów muzycznych, na stylu, nastroju, charakterystyce, wyrazie i t. d. jego utworów, których niejednolitość i chwiejność aż nadto zauważać się daje. Nierzadko bardzo nawet interesujące, na miano arcydzieł jednak wskutek tego żadną miarą nie zasługują, autorowi zaś ich przydomku „genialny” przypisywać nie pozwalają.

Do niezwykle uroczystych dni w naszym życiu artystycznym zapisać należy datę występu najlepszej pono ze wszystkich kapeli świata całego, orkiestry Filharmonii berlińskiej pod wodzą mistrza sztuki dyrygowania, Artura Nikischa! Upajającej zaiste rozkoszy, uniesienia, podziwu i t. p., czego aż do zbytku zaznali uczestnicy tej biesiady artystycznej, określić niepodobna chyba w innej formie, jak tylko w superlatywach, cisnących się ustawicznie pod pióro sprawozdawcze. Czy to będziemy mówili o nadzwyczajnym wyrobieniu orkiestry pod względem biegłości technicznej lub brzmienia jej w znaczeniu zmysłowem, czy o indywidualnym kapelmistrzu i tłumaczeniu przezeń autorów, czy też o samem wykonaniu idealnie zgodnem i idealnie wykończonem w najdrobniejszych nawet szczegółach, i w tych dopiero warunkach urzeczywistniającem upragnione zadania ar-

tyzmu, ostatecznie cele sztuki odtwórczej, na usta wybiegną li tylko słowa zachwyty, zdumienia, uznania... Bo jakże nie podziwiać armii muzycznej, która z najzawilżemi trudnościami igra z taką swobodą a przytem jednoczesnością, iż całe grupy instrumentalne sprawiają wrażenie, jak gdyby—bez względu na ich ilość — odzywał się jeden tylko potężny jakiś instrument, jak nie zachwycać się cudownie śpiewnym jej tonem, albo tęcząwą tegoż barwnością wśród najróżnorodniejszych odcieni—od tajemniczego szeptu do wybuchu imponującej siły. A jeżeli orkiestrę berlińską przyrównamy do czarownego instrumentu, którego doskonałość materyalna jest wynikiem starannego doboru sił z samych wirtuozów złożonych, to o ileż zyskuje on jeszcze na czarze w ręku takiego mistrza, jak Nikisch! Kto on zacz? — wie już chyba każdy, zarówno muzyk, jak lubownik muzyki. Pod jego elektryzującą pałeczką orkiestra przemienia się jakby w wielki, piękny organ, a jej członkowie w klawisze. Na tym wielkim żywym organie Nikisch gra, jak wielki wirtuoz. Wszystko, czego chce, z klawiszów dobędzie; jakiego sobie głosu życzy, taki mu zabrzmi: jakie kombinacje rejestrów uważa za najodpowiedniejsze do uwydatnienia należytego tej, czy owej myśli kompozytora, tego, czy owego efektu, takie jednym skinieniem swojej batuty czarodziejskiej na wierzch z fali zespołu dźwięków orkiestry wyprowadzi. Największy to bezwarunkowo z kapelmistrzów współczesnych, a jeżeli jeszcze występuje w otoczeniu, jak to miało miejsce obecnie, kapeli tak znakomitej, a przytem jeszcze pracującej stale pod jego kierunkiem, a więc skojarzonej z nim harmonijnie w jedno—zda się—ciało, bajecznie subtelne i dokładne, to muzyki pod takim kierunkiem i w takim wykonaniu można słuchać rzeczywiście, jak cudownego marzenia, można dać się jej porwać w strefy nadziemskie, bez pamięci o świecie, rzeczywistości...

Wobec przepięknego wrażenia, jakie wywarł na miłośnikach naszych występ orkiestry berlińskiej, dość blado przedstawiają się popisy kapeli lipskiej, od paru tygodni goszczącej w Dolinie Szwajcarskiej. Wprawdzie kierownik jej, znany dobrze publiczności warszawskiej, p. Winderstein, jest dyrygentem zdolnym, doświadczonym, sprężystym, czynnym na wszystko, w opracowaniu każdego utworu nadzwyczaj starannym, w interpretacji pomysłowym, lecz brak mu polotu indywidualnego, brak tej zdolności kombinowania głosami instrumentów grup poszczególnych, tej umiejętności uwydatniania wszystkich pomysłów autorów i efektów instrumentacyjnych, która tak wyróżnia z grona innych kapelmistrzów Nikischa, a dzięki której nawet znane bardzo utwory przedstawiają się w świetle zupełnie odmiennem. A że przytem drużyna jego nie imponuje materyałem, z jakiego jest złożona, przeto produkcje jej nie wyróżniają się niczem osobliwym—można je nazwać udatnemi i poprawnemi pod wielu względami, można wysłuchać niekiedy nawet z przyjemnością, ale ponadto nic więcej godnego uwagi nie przedstawiają.

Z innych koncertów w omawianym okresie na wyróżnienie zasługują koncerty „Lutni” i grona śpiewaczego, występującego p. n. „Pieśń.” Gościna chóru krakowskiego w gronie naszym nie pozostała bez wpływu na rozwój artystyczny tutejszych kół śpiewaczych. Zwłaszcza na występach „Lutni” dają się zaznaczyć silniejsze dążenia w kierunku poprzednio nie dość uwzględnianym. Większa plastyczność i wyrazistość słowa, delikatniejsze stopniowanie odmian dynamicznych, większe umiarkowanie w posługiwaniu się ulubionemi niegdyś efektami barw krańcowych świadczą wymownie, że dyrektor Maszyński potrafił skorzystać umiejętnie z wybornego przykładu, a pracując wytrwale,

nieustannie prowadzi sympatyczną swą drużynę ku wyżynom doskonałości artystycznej. Taką samą pracą owocną widnieje i w postępkach czynionych przez stowarzyszenie „Pieśń,” pozostające pod kierunkiem p. Kopaska. Młodego tego ciała zbiorowego słuchać można już z istotną przyjemnością: chór śpiewa rytmicznie i czysto, brzmi dobrze i dźwięcznie, pracuje z poczuciem muzycznym, niektóre zaś utwory, zwłaszcza pieśni ludowe, wykonywa nawet bardzo efektownie.

Na zakończenie nieco o nowościach muzycznych. Na tem polu ruch dość duży, gdyż wszystkie prawie główne firmy wydawnicze stanęły do apelu i wystąpiły z całym szeregiem wydawnictw, godnych szerszego zainteresowania się niemi. O zewnętrznej stronie wszystkich tych wydawnictw wystarczy powiedzieć w paru słowach, że odznacza się ona dużą starannością. Druk, papier, korekta, wygląd estetyczny nie pozostawiają do życzenia. Co się tyczy strony wewnętrznej, to dużą wartością odznacza się przede wszystkim zbiór profesora Strobla, wydany przez firmę Gebethnera i Wolffa. Na zbiór ten, z którego w czasach ostatnich ukazało się na półkach księgarskich z górą 70 numerów, oprócz utworów klasycznych, składa się wszystko prawie, co tylko się ukazało i ukazuje ciekawego we współczesnej literaturze fortepianowej wszechświatowej. Znajdujemy tu utwory wybitniejszych kompozytorów francuskich, angielskich, niemieckich, włoskich, węgierskich i swojskich — wszystkie zajmujące, a skrupulatnie przejrane i opalowane przez prof. Strobla. Dobór kompozytorów i poklasyfikowanie ich, nadzwyczaj umiejętnie, podług stopnia trudności przez tak doświadczonego pedagoga, jakim jest Strobl, rekomendują to wydawnictwo dla celów pedagogicznych z najlepszej strony. Z innych wydawnictw Gebethnera i Wolffa na szczególną uwagę zasługują cztery pieśni na jeden głos z towarzyszeniem fortepianu Gustawa Roguskiego (NN. 7, 8, 9 i 10 ogólnego zbioru). Pieśni te na sopran i mezo-sopran posiadają przedewszystkiem tę zaletę, że są pisane doskonale dla głosu i trzymane są w wygodnej pozycji, a zarazem pozwalają wykonawczyniom uwydatnić organ swój nader korzystnie — żaden efekt w tym kierunku nie jest pominięty, na każdym kroku widnieje głęboka znajomość natury kobiecych głosów. Po za tem wszystkie są melodyjne i pełne wdzięku, tudzież posiadają ładny podkład harmoniczny.

Nakładem Kassy pomocników księgarskich wyszły: melodyjny i popularny walc Karasińskiego p. t. „Lucy” oraz charakterystyczny walc Komzak'a p. t. „Narenta.” Młoda ta firma wydawnicza rozwija się coraz pomyślniej i zaczyna rozszerzać coraz bardziej krąg swej działalności. W ostatnich czasach nabycie przez nią wszystkich wydawnictw „Echa Muzycznego” i przystąpienie do powtórnego wydania wielu z nich, bardzo cennych, a zupełnie już wyczerpanych, powinno być dla szerszych miłośników muzyki rzeczą nieobojętną, faktowi zaś samemu szczerze przyklasnąć należy. Z innych firm wydawniczych z interesującymi nowościami, głównie z zakresu muzyki lżejszej, wystąpiły firmy: Fiszera i Sennewalda. Z wydawnictw tego rodzaju pierwszej na wzmiankę zasługują wyjątki z operetki Léhara p. t. „Druciarz,” cieszącej się obecnie dużym powodzeniem na scenie teatru Nowości, z wydawnictwa drugiej — cztery wyjątki z opery komicznej p. t. „Amazonka,” znanego kompozytora F. Blona. Firma lwowska Jakubowskiego wydała cały cykl pieśni i piosenek Stanisława Niewiadomskiego, w liczbie ogólnej 23-ch numerów. W zbiór ten weszło kilkanaście pieśni, dawniej już wydanych, resztę stanowią skomponowane w czasach ostatnich przez utalentowanego tego muzyka. Zbiór to bogaty

i cenny zarówno dla swej melodyjności ładnej i szlachetnej, oraz swojskości, płynącej tu strumieniem szerokim, jak i dla opracowania starannego i pięknego.

Nakładem „Nowości Muzycznych” wyszły w ostatnich dwóch zeszytach pomiędzy innymi: chór masek z „Maryi” Melcera, serenada i Nokturn młodego, a pełnego talentu kompozytora, Ludomira Różyckiego, oraz kilka do wciplnie opracowanych melodyj japońskich.

St. Dziadulewicz.

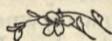


Na półkach księgarskich.



— Józef Maciejowski: „Opowiadania.” Kraków, Gebethner i Spółka, 1904 r.

Autor jest zdolnym malarzem nastroju. W szeregu jego opowiadań, kryjących zawsze myśl głębszą lub przenośnię, strona malarska krajobrazów i „nastrój otoczenia” grają najwybitniejszą rolę. W opowiadaniu p. t. „Dwaj,” autor stara się wykazać, iż w duszy każdej, zwłaszcza w duszy artystycznej, tkwi uwieczony ideał piękna niedościgniony, któremu poświęcamy nasze zapala, natchnienia, najlepsze siły, życie całe. Szukając go na zewnątrz, w otoczeniu, nie doznajemy wrażeń oczekiwanych — spotyka nas zawód; jedynie w głębi duszy naszej i w wyobraźni istnieje ten najwyższy szczyt doskonałości, ku której dążymy ustawicznie w wędrówce życiowej. Opowiadanie „W kawiarni” przedstawia, iż wiecznie nienasycony wampir złego, czyha wszędzie na pogębienie i zagubę naszą, podporządkowując złym instynktom natury ludzkiej lepszą cząstkę duchową. W tej wiecznej walce zła z dobrem, — zło na ziemi często króć tryumfuje. W obrazku, zatytułowanym „Tuberozy,” rzuca autor wiecznie dręczące zapytanie: czemu ludzie tak cierpią, borykają się, walczą i giną, — czemu jest szczęście i czy ono rzeczywiście istnieje? P. Maciejowski jest niewątpliwie młody. Znać to na jego talencie, na którym modernistyczny wpływ doby ostatniej jest widoczny, mimo to jednak jest indywidualnym i dobrym obserwatorem głębszych przejawów ducha ludzkiego. Z tego względu „Opowiadania” jego zaciekawiają i zwracają uwagę. gt.



Kronika działalności kobiecej.



— Austro-Węgry. Stowarzyszenie „gospodarcze” święciło w Wiedniu 29-te ogólne zebranie pod przewodnictwem głównej kierowniczkii zakładu, p. Utylii Bondy. Stowarzyszenie liczy 1,110 uczestniczek, a sprawozdanie wykazało nadzwyczaj ruchliwą i pożyteczną jego działalność. Po odciążeniu wszystkich kosztów pozostało kapitału zapasowego 788,600 koron. Biuro poszukiwania pracy, istniejące przy Stowarzyszeniu, rozdało bezinteresownie 2,223 posad w różnych dziedzinach pracy kobiecej. Trzydzieści sześć służących, pozostających w służbie, w jednym miejscu od 6-ciu do 45-ciu lat, zostało wynagrodzonych odpowiednio do swoich zasług; przewodnicząca oddziału służących, będąca jednocześnie kierowniczką szkoły gospodarsko-kucharskiej, założonej przez Stowarzyszenie, panna Ludwika Gessing, otrzymała od cesarza, Franciszka Józefa, medal zasługi.

— Jak już donosiliśmy, minister oświaty i minister spraw wewnętrznych zgodzili się na dopuszczenie kobiet w Austrii do fakultetu farmaceutycznego, na równych prawach z mężczyznami. Rozporządzenie to zostało bliżej określone i uprawomocnione. Kobiety wstępujące na wydział farmaceutyczny, winny przedstawić świadectwo z ukończenia gimnazjum żeńskiego oraz świadectwo ze złożonego egzaminu z łaciny, w zakresie 6-ciu klas gimnazjum męskiego.

— Szwajcarya. Doktorka medycyny, panna Łucya Morawitz z Wiednia została zainicjowana na posadzie płatnego asystenta, przy profesorze Monakowie, w uniwersyteckiej klinice dla nerwowo chorych w Zurichu.

Uniwersytet w Bazylei, w którym tak samo, jak w innych uniwersytetach, wstęp dla kobiet nie jest wzbroniony, wydał rozporządzenie, mocą którego 17-letnie słuchaczki dopuszczone są na wydział filozoficzny: 1) na prawach wolnych słuchaczek, 2) na prawach studentek, jeżeli złożą egzamin przed docentem wyżej wspomnianego wydziału.

— Stany Zjednoczone. Znana pisarka amerykańska, Van Vorst, wydała bardzo zajmujące spostrzeżenia o specjalnym sądzie dla dzieci, zaprowadzonym w Nowym Yorku, tak zwanym „Juvenile Court.” Sąd ten powstał w roku 1902, staraniem sędziów nowyorkskich, którzy przeprowadzili prawo, iż „wszelkie przestępstwa, popełnione przez dzieci, winny być rozpatrywane osobno, nie zaś łącznie z przestępstwami ogólnymi.” Już w pierwszym roku swego działania „Juvenile Court” rozpatrywał sprawy 7-iu tysięcy dzieci. — Przy sądzie wybudowano specjalny areszt dla nieletnich, nad którym dozór sprawują wyłącznie kobiety.

Oto treść rozmowy pani Van Vorst z dozorczynią zakładu.

— Zwróciłam uwagę — pisze autorka, — na kilka twarzy nieletnich przestępców, o przykrym, strasznym wyglądzie i zapytałam, czy nigdy niepotrzebną bywa interwencja mężczyzny, dla skarcenia niesfornych malców. Odpowiedziano mi, że wpływ kobiet na oskarżonych i skazanych na karę nieletnich przestępców jest nierównie silniejszy, niż wpływ mężczyzn.

— W trudnych wypadkach — mówiła dozorczyńca, — mężczyzna zazwyczaj stosuje siłę fizyczną, jako argument najłatwiej przekonujący opornego. My zaś przeciwnie, świadome naszej słabości, wykazujemy więcej wyrozumienia i taktu. Staramy się zrozumieć charakter powierzonych naszemu dozorowi malców i w celu zachowania nad nimi przewagi, uczymy się wielu rzeczy, pożytecznych w skutkach zarówno dla dzieci, jak i dla nas.

Tu dozorczyńca przytoczyła następujący wypadek.

— Zdarzyło się, że jeden z najoporniejszych, najgorszych naszych chłopców wyszedł z szeregu, żeby mnie uderzyć. W tej chwili powalił go na ziemię inny, równie uważany w zakładzie za opornego i bardzo trudnego wychowanka — i ten mój obrońca, chłopak zły, zepsuty, zasłonił mnie sobą i oświadczył po rycersku, że: „nikt przy nim nie podniesie ręki na kobietę”...

— Słabość nasza daje nam niekiedy siłę, — zakończyła doświadczona kobieta.

Z. S.



Nasz ul.



— Wyszedł z druku zeszyt V-ty „Książki,” zawiera on artykuł wstępny Bronisława Chlebowskiego o cenionym pisarzu i literacie ś. p. Piotrze Chmielowskim.

W dziale krytycznym figurują: J. K. Kochanowski: „Szkice i drobniutki historyczne,” przez Tadeusza Smoleńskiego; Witkowska Helena: «Historia ustroju Polski w zarysie» w 3-ech częściach, przez J. K. Kochanowskiego; Kazimierz Król i Jan Nitowski: «Historia literatury polskiej» przez Ignacego Chrzanowskiego; Al. Janowski: «Dziesięć ciekawych wycieczek po kraju» przez Wacława Nalkowskiego; Wacław Sieroszewski: «Na Daleki Wschód» przez W. Nalkowskiego i t. p., szereg zwięzłych notatek krytycznych o wszelkich utworach doby bieżącej.

— W „Bibliotece Dzieł Wyborowych“ ukazały się trzy pierwsze pieśni poematu Deotymy «Sobieski pod Wiedniem».

— Dnia 8-go b. m. otwarto w Kaliszu zakład hydro-patyczny pod nadzorem lekarzy-specjalistów: Wilczewskiego i Kamińskiego. Chorym udzielają wszelkiego rodzaju kąpiele, masaży, gimnastyki leczniczej, elektryzacji i t. p. Za wpis i pierwszą poradę lekarską wnoszą się 5 rubli, oraz 1 rubla (razem 6 rubli) jako takse do Kasy miejskiej za prawo używania przechadzek w parku. Cena kuracji miesięcznie wynosi 18 rubli.

— D-ra Felicyę Jotejkównę, kierowniczkę oddziału psychologicznego na Uniwersytecie Brukselskim, mianowano wice-przewodniczącą belgijskiego Towarzystwa neurologicznego.

— Konkurs „Macierzy Polskiej“ na sztukę ludową, rozstrzygnięto obecnie. Pierwszą nagrodę w kwocie 200 koron otrzymał p. Jan Kmotycki za dramat jednoaktowy p. t. „Janek-sierota.“

— Piękny przykład uczczenia pamięci dobrego i ukochanego kolegi ś. p. Emila Trembińskiego, kuzyna i wychowawca Bolesława Prusa, zmarłego w Lutym r. b. — dali uczniowie szkoły handlowej p. A. Ubysza, złożony w tym celu swoje oszczędności, w sumie 50 rub., na wpis dla nie-zamożnego ucznia.

— Filharmonia warszawska ogłosiła abonament na dzieśnię wielkich piątków symfonicznych przyszłego sezonu. Pomysłowo i pracowicie ułożony przez dyr. Rajchmana program zawiera najznakomitsze popisy artystów tej miary, jak: Paderewski, Śliwiński, Kubelik, Ysaye, Max Hombourgh, Emil Sauer, Felia Litvinne, Kamilla Landi i t. d.

Nie małą atrakcją stanowią będzie przyjazd młodego Zygryda Wagnera, który poprowadzi dzieła znakomitego dziada (Liszt), genialnego ojca i swoje własne!

Godnym uznania jest pomysł wykonania «Parsywała» na estradzie, w najcelniejszej obsadzie artystów z Bayreuthu.

Pierwszy koncert zapozna nas z najnowszą «Simfonia domestica» Ryszarda Straussa, który zadyryguje oryginalnym poematem oddającym mowę tonów burze i uroki malżeńskiego pożycia.

Z dzieł swoich poważniejszego pokroju wejdzie na repertuar nowa symfonia Paderewskiego, której pierwsze wykonanie odbędzie się w Filharmonii warszawskiej.

System stałych miejsc abonamentów pozwala łączyć z wrażeniami artystycznymi „ponęty“ życia towarzyskiego. Za wzorem Paryża i Rzymu tworzą się w tym naszym salonie muzycznym *cercles*, grupując w pewnym oznaczonym dniu dane sfery towarzystwa.

— Dnia 19-go b. m. zmarł w Warszawie ś. p. *Szymon Krzeczowski*, w wieku lat 84. Nieboszczyk pracował na niwie pedagogicznej, później oddał się działalności dobroczynnej, opiekując się gorliwie Przytulkami, Szwalniami i Ochronami dla dziewcząt, pracując jako członek, protektor i były wice-prezes Towarzystwa Dobroczynności, któremu ofiarował dwie nieruchomości miejskie, jako fundację imienia Krzeczowskiego na cele miłosierdzia publicznego.

— Dnia 22-go b. m. zmarł w Warszawie ś. p. *Leon Nencki*, doktor medycyny, brat niedawno zmarłego lekarza

i znakomitego chemika, Marcelego. Ś. p. Leon jako lekarz-chemik był członkiem wydziału biologicznego w Towarzystwie Hygienicznym, czynnym członkiem Towarzystwa Lekarskiego w Warszawie i honorowym wielu instytucji lekarskich za granicą. Nadto pracował, jako pisarz i twórca prac teoretyczno-medycznych i współredaktor miejscowej „Gazety Lekarskiej.“ Pozostawia po sobie pamięć człowieka pracowitego, biegłego i bezinteresownego lekarza. Żył lat 55.

— Dnia 8 b. m. zmarł w Wilnie ś. p. ks. *Maciej Hara-simowicz*, prałat Katedry Wileńskiej i dworu Papieżkiego — pełen zasług i syt uznania, przeżywszy lat 62.

— Dnia 17-go zmarł w Krakowie ś. p. ksiądz kanonik d-r *Julian Bukowski*, proboszcz kolegiaty św. Anny, znany, jako uczony pisarz religijny. Po złożeniu rozprawy «O nieśmiertelności duszy w pojęciu Hebrajczyków,» uzyskał stopień doktora św. teologii w Uniwersytecie lwowskim. Z kilku dzieł, jakie pozostawił, wymieniamy: «Kazania passyjne,» w dziale lingwistycznym: «Porównanie języka polskiego i łacińskiego pod względem składni, budowy zdań i zwrotów z uwzględnieniem pisarzy polskich złotego wieku.» Najważniejszą atoli pracą zmarłego były «Dzieje reformacji w Polsce.» Żył lat 67.

— Dnia 18-go b. m. zmarł w Poznaniu ś. p. d-r *Stanisław Gruszczyński*, w wieku lat 86. Zmarły był zasłużonym pedagogiem i autorem prac z zakresu studyów literackich. Napisał: «O znaczeniu «Myszeidy» — I. Krasiekiego, «O Mickiewiczu ze stanowiska narodowego,» «Wojna Chocimska» — A. Potockiego.» Dwie ostatnie prace wygłoszone były, jako prelekcje i wydane w Poznaniu. Pozostawił nadto: «Naukę o zdaniu,» oraz rozprawę naukową po łacinie z filozofii Platona.

— Dnia 16-go b. m. zmarł w Pradze Czeskiej ś. p. *Jan Kolarz*, znakomity niegdyś pisarz i poeta narodowy słowiański.

— Dnia 16-go b. m. zmarł w Paryżu *Daniel-Vierge-Urabitto*, rodem z Hiszpanii, wybitny malarz i ilustrator. Znane są świetne jego ilustracje do dzieł Wiktora Hugo i Cervantesa.

— Dnia 17-go b. m. zakończył życie w Paryżu ś. p. *Stefan Marcy*. Po ukończeniu medycyny w Paryżu, został profesorem historii naturalnej w Collège de France. Jako fizyolog przeprowadzał liczne doświadczenia przy pomocy dobrze obmyślonych przyrządów samopiszących i fotograficznych, badał mechanizm ruchów zwierzęcych. Pozostawił liczne prace w tym zakresie, np.: «Physiologie medicinale de la circulation du sang,» «Des mouvements des fonctions de la vie.» «La machine animale, locomotion terrestre et aérienne,» «Physiologie expérimentale» i wiele innych.

Treść numeru:

Pani Marya, czy Marysia? (Słów parę w kwestyi sług), przez Sz. — Jad. powieść, przez Maryana Gawalewicz (ciąg dalszy). — Światło Światła (wiersz), przez Adelę Koneczną. — Małżeństwo Bony Sforza, przez Adama Darowskiego (ciąg dalszy). — Pamięć, jej znaczenie w umysłowości i etyce, odczyt d-ra Henryka Nusbauma (ciąg dalszy). — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Wystawa wiosenna, przez Gilberta. — A. B. de Guerville: Szkice z Japonii (ciąg dalszy). — Przegląd muzyczny, przez Stanisława Dziadulewicza. — Na półkach księgarskich, przez gt. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 2-gi „Wrażeń z Dalekiego Wschodu“ Piotra Loti'ego, w przekładzie Wili Zyndram-Kościałkowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 25). — Pogawędka gospodarska: Praktyczne krawiectwo domowe (z 6-ma rysunkami) i Jak można urozmaicać „menu“ obiadowe. — Przepisy kuchenne.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz“

KSIAŻKA ZBIOROWA p. t.

„KOBIETA WSPÓŁCZESNA“

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszczu.“

Prenumeratorki „BLUSZCZU“ płacą za powyższe dzieło **tylko rb. 1.**

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

OGŁOSZENIA.

Sanatogen

Środek wzmacniający nerwy i zasilający organizm u dorosłych i dzieci.

Prawdziwy tylko **Bauera i S^{ki}** w opakowaniu rosyjskiem.

Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.

Broszury na żądanie bezpłatnie.

S. Karczewski, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.

Zakład naukowy żeński Zofii Sierpińskiej

63 Marszałkowska 63 (róg Pięknej)

Zapis uczenie przychodnich i pensjonarek odbywa się w poniedziałki, środy i piątki od 4-ej do 6-ej po południu.

W Zakopanem (w Tatrach) ul. Chałubińskiego l. 21 i 23 (willa własna).

LUDWIKA SZWEJGIERA

Zakład wychowawczy i naukowy

dla młodzieży męskiej

(Rok istnienia piąty).

Zakład zapewnia młodzieży higieniczne dostatanie utrzymanie, troskliwą opiekę wychowawczą i lekarską, naukę do szkół galicyjskich lub do szkół z językiem rosyjskim. Szczególna uwaga na zdrowie i rozwój fizyczny (gimnastyka, gry, zabawy, zajęcia ręczne — po każdej godzinie nauki dłuższe paury). Języki obce i konwersacja tymi. Na żądanie program wy-czerpujący we wszystkich szczegółach. Rok szkolny rozpoczyna się 4-go września.

CENY ZNACZNIE ZNIŻONE!

NA CZAS LETNIEGO SEZONU z powodu dużych zapasów

GRAMOFONÓW i PŁYT

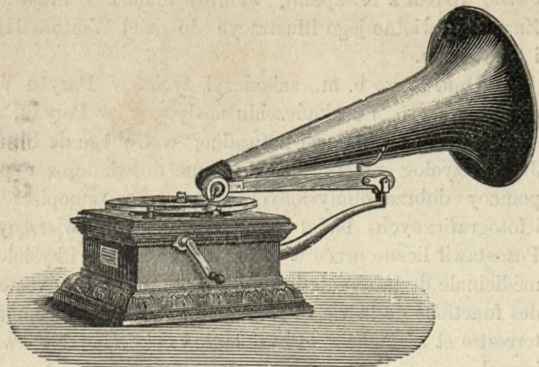
poleca

główny w kraju skład
Akcyjnego Tow. „GRAMOFON”
w ROSSYI.

w Warszawie: NOWY-ŚWIAT 30 i jedyna filja: MARSZAŁKOWSKA 116

Telefon Nr. 1288

Telefon Nr. 2868.



Poleca wyroby własnej fabryki

GRACJAN BRZEZIŃSKI

Kufry, Walizy, Nesesery, Poduszki skórzane, Obuwie płócienne oraz wszelkie przybory do podróży i sportu.

Skład fabryczny Ś-to Krzyżka 15 vis á vis Włodzimierskiej. Telefon 3462.

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcji Damskiej

L. GAŁKOWSKIEGO

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole i wyroby trykotowe francuzkie. Najlepszy krój koszul męskich.

Na czas letniego sezonu!

SPRZEDAŻ PIANIN w wielkim wyborze bez zaliczki

25 rb.

miesięcznej rozplaty



25 rb.

miesięcznej rozplaty

C. M. SCHRÖDER

Dostawca 5 Dworów Cesarskich.

Skład fabryczny:

Warszawa,

Nowy-Świat 30, Telef. 1288.



BIURO NAUCZYCIELSKIE

JAHOŁKOWSKIEJ

Warszawa, Marszałkowska 118

poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

PAULINY BURCHARDT

Warszawa, Marszałkowska 125.

≡ Poleca Nauczycielki, Bony. ≡

Herman & Grossman

Warszawa,

Mazowiecka

Nr. 16.

Telefon 555.

Fortepiany, fabryk krajowych i zagranicznych
Pianina i Organy w wielkim wyborze

Petersburg

Moskwa.

SPRZEDAŻ NA ROZ-
PŁATY MIESIĘCZNE
PO 25 RUBLI.

WYNAJEM WYBOROWYCH
INSTRUMENTÓW.



ANGELUS — ORCHESTRAL

PIANINA

„CROWN” — „SYMPHONY”

Cenniki ilustrow. gratis.

SERWISY KAMIENNE

Kolorowe po rub. 14. Białe po rub. 10.
Składające się: z 24 talerzy płaskich,
12 głębokich, 12 deserow., 12 komp., 12
par filiżanek do kawy. Wazy na 12 osób,
2 półmiski owalne, 1 okrągły, 2 do śledzi,
2 salaterki, 1 sosierka, 1 solniczka, 1 mu-
szardnik z łyżeczką.

Od rub. 3 kop. 50 garnitury na umy-
walnie, kolorowe, kamienne zagraniczne.

Komplet szkła kryształowego za
rub. 8 na 12 osób, sztuk 86,

poleca

GŁÓWNY SKŁAD I MALARNIA

Marjana Girtler

Warszawa, Nowy Świat 22.

KRYNICA

Dom pod Wawelem

naprzeciw łaźni borowinowych
i mineralnych na wzgórzu. Po-
koje z całodziennym utrzymaniem.

Żeleszkiewicz i Kaczkowska.

Pensjonat leczniczy dla dzieci

Julii Benoni Dobrowolskiej

W Zakopanem Jagiellońska
w „Nieczuja”

otwarty cały rok

W Rabce w „Stara Kolonia”

otwarty na miesiące letnie.

Ciechocinek,

Pensjonat „Zachęta” Heleny Kuczal-
skiej i S-ki, powiększony o 43 pokoje
przez wydzierżawienie 2 willi przy
ul. Wysokiej (obok kościoła, kąpieli
i parku). Na żądanie kuchnia dyete-
tyczna pod nadzorem lekarza mies-
kającego w pensjonacie. Opieka nad
ciężko chorymi. Masaż, gymnastyka
szwedzka lecznicza i pedagogiczna na
miejscu. W dawnej Zachęcie czytelnia,
pianino, rower, tenis, opieka nad mło-
dzieżą. W obu kuchnia staranna, ceny
niskie, pokój, pościel, całkowite utrzy-
manie od 2 rb. W maju 10% niższe.

Najtańsze

bo najhygieniczniejsze

Naczynia z czystego niklu,
fabryki A. Kruppa w Berndorfie (Austria)

z ustępstwem od cen fabrycznych, poleca,

Skład naczyń kuchennych

Edwarda Dusoge

w Warszawie,
Nowy-Świat № 5.

Cenniki gratis. Telefon № 2515.

„Nowość z sitkiem”

SUDORYN

Ap. Kowalskiego



w blaszankach z sitkiem po
30, 50 i 90 k. Żądać wszę-
dzie. Strzedz się naślado-
wnictw!

POT, woń potu USUWA, zapobiega od-
parzeniu nóg, niszczeniu odzieży, obu-
wia. Za świetny skutek i nieszkodliwość
Sud. ręczy Skład główny: Apteka Ap.
Kowalskiego w Warszawie, Graniczna 10,
bez zadatku przesyłając 2 blaszanki, za
30 i 50 k., za zalicz. 111 k. Mnóstwo
świadectw i podziękowań. Sprzedawcom
wysyła się rabaty, sposób taniej prze-
syłki, plakaty.

Po rb. 10, 25, 30, 45 do
200 rub.

Polecamy:

Serwisy stołowe na 12 osób kolorowe
i ręcznie malowane są gotowe na
składzie fajansowe, granitowe i por-
celanowe składające się od 71 do 122
kompletów.

Szkoło stołowe krajowe jako też i zagra-
niczne: Baccarat, Czeskie i t. p. du-
ży wybór od 9 rubli do 175 r. na 12
osób.

Garnitury na umywalnie granitowe
angielskie od 5 rubli; do herbaty
i kawy malowane na 12 osób od 5
do 50 rubli.

Garnitury toaletowe w dużym wybo-
rze.

Donice do kwiatów od 25 k. za sztukę.
Talerze fajansowe stołowe mocne I s.
od 1 rb. kolorowe po 1.25 k. za tuzin.

Naczynia higieniczne, kuchenne, ka-
mienne.

Szklanki do herbaty od 50 kop. tuzin.
Wazony, żardiniery, figury biusty, pa-
tery, kandelabry, popielniczki. Ga-
lanteryjne przedmioty w wielkim
wyborze. Ceny przystępne.

Malarnia własna przyjmuje zamówienia
na herby i monogramy na porcelanie
i szkle.

Adres:

Mazowiecka 8.

F. Pierzchalski